

Mówi: „Panie mój! Zabity – jest niewinnym zgoła!
Ten zaś, co się trudów ustrzegł – oto jest bogaty.
A kto zjawił się – ubogie były na nim szaty!
Ów jest martwy, choć przed chwilą żyw był między nami,
Chociaż go, o Stwórco ludzi, żaden grzech nie splamił!”
A denary te, zaiste, były wprzód mieniem
Ojca człeka, co bez trudu wziął je nad strumieniem.
Drwał zaś – ojca jeźdźca tego zabił był zuchwale,
Więc za śmierć rodzica jeździec pomstę wziął nad drwalem.
Rzuć, nasz sługo, dociekania, bowiem wiedz, człowiecze:
Są na świecie sprawy, których umysł nie dociecze.
Naszym poddaj się wyrokom, wolę naszą ziści,
Bowiem ona straty zsyła, jako też korzyści.

Opowieść o Sindbadzie Żeglarzu

Wieść niesie, o królu szczęśliwy, że za panowania Władcy Wiernych Haruna ar-Raszida żył w mieście-Bagdadzie pewien człowiek, którego zwano Sindbadem Tragarzem. Był on ubożego stanu i aby zarobić, nosił na głowie ciężary.

Pewnego dnia wypadło mu w czasie wielkiego upału ogromny ciężar dźwigać. Zmęczony tym ciężarem i utrudzony spiekotą przechodził koło bramy pewnego kupca. A przed bramą tą ziemia była zamieciona i skropiona wodą, powietrze było świeże i nie opodal stała szeroka ława. Tragarz położył na niej swe brzemie, aby odsapnąć chwilę i oddech złapać. A wtedy przez ową bramę doleciał doń rozkoszny powiew i jakiś zapach słodki. Sprawilo mu to taką przyjemność, że na skraju ławy przysiadł, a wtedy z wnętrza domu posłyszał delikatne tony harfy i lutni jak też jakieś czarowne, rozśpiewane głosy. Do tego dołączył się jeszcze świergot ptaków sławiących rozmaitymi językami i głosami Allacha – oby wywyższone było Jego imię. Były tam turkawki, słowiki, kosy, szpaki, gołębie grzywacze i kuropatwy. Tragarz zdumiał się i wielkim wzruszeniem przejęty, podszedł bliżej. W głębi domu znalazł wspaniałą dziedziniec, a na nim rzezańców, niewolników i paziów, a także przedmioty, jakie zazwyczaj znajdują się u królów lub sułtanów. I poczuł tragarz zapachy potraw najprzedniejszych i napojów najwykwintniejszych, a wtedy oczy do nieba podniósł i rzekł: „Chwała Ci, o Panie i Stworzycielu, który zsyłasz swe dobrodziejstwa, darząc nimi swych wybrańców wedle upodobania! O Boże, oto błagam Cię o odpuszczenie wszystkich moich złych postępków i ku Tobie się zwracając, wyrze-

kam się mych grzechów! Boże, mocy Twoich postanowień nic się nie ostoi, Ty nikogo nie pytasz, co czynić, bo władzę masz nad każdą rzeczą! Chwała Tobie, który wedle swojej woli jednym bogactwo, innym niedostatek zsyłasz i tego, kogoś sobie upodobał, wywyższasz, innych zaś, jeśli zechcesz, poniżasz. Co większego jest nad Ciebie, co trwalszego nad Twe panowanie i jakże potężna Twoja władza! Oto nie poskapiłeś dobrodziejstw swoim sługom, takim jak pan tego domu, który w dostatki opływa, raduje się smakowitymi zapachami, dobre ma jadlo i napoje wyszukane. Rządzisz Twymi stworzeniami tak, jak chcesz, i są one tym, czym im być każesz. Są więc zmęczeni i tacy, co wypoczywać mogą, są szczęśliwi i tacy, co jak ja w udreće i upodleniu wiecznie trwają.” To rzekłszy dalej wierszem powiedział:

Nie znają chwili spoczynku biedni nędzarze,
Cień im odjęto łaskawy, ochłodę w skwarze.
Jam dziś obezwładniony gorzkim zmęczeniem,
I dziwne są losy moje i wielkie brzemie.
Są obok ludzie szczęśliwi, żyją wesoło,
Ich barki trudu nie znają, ni potu czoło,
Bo szczerze los obdarował szczęśliwcom życie
Weselem i poważaniem, jadłem i piciem.
Choć z jednakiego nasienia wszyscy powstali:
I ja, i oni, i inni, wielcy i mali,
Przecie odmienne są nasze dni, nasze noce,
Jako się różnią od siebie wino i ocet.
W tym, co tu prawię do Ciebie, nic Ci nie kłamie.
Tyś sprawiedliwy i dobre Twoje władanie.

Skończywszy mówić wiersze, Sindbad Tragarz sięgnął po swój toból i chciał iść dalej, gdy z bramy wyszedł paź. Miał on gładkie lica, zgrabną postać i wytwornie był odziany. Ujął Tragarza za ramię i powiedział: „Wejdz, mój pan wzywa cię i pragnie z tobą porozmawiać.” Tragarz począł się wymawiać od wejścia za paziem do domu, ale był to próżny trud, przeto zostawił swój ciężar w przedsionku u odźwiernego, a sam podążył za młodzieńcem w głąb domu. Zobaczył, że jest to piękne domostwo, w którym znać było gościnność i szlachetne obyczaje gospodarzy. I ujrzał tam tragarz wielu czcigodnych mężów i różne osoby dostojne, i były tam kwiaty wonne, słodczyce, owoce i różnego rodzaju wykwiłne potrawy, wina, instrumenty muzyczne i wesołe, urodziwe dziewczęta, a każda z nich godnie siebie miejsce zajmowała. Pośrodku tego zgromadzenia stał mąż dostojny, którego posrebrzone skronie świadczyły, że wiele przeżył. Miał on miłą postać, twarz piękną i wzbudzał szacunek swą powagą, godnością i szlachetnym wyglądem. Sindbad Tragarz widząc to

wszystko zdumiał się i rzekł: „Na Allacha, albo to jest raj, albo też dostałem się do pałacu jakiegoś króla lub sułtana.” Potem dobremu wychowaniu wyraz dając, pozdrowił ich i życząc im błogosławieństwa bożego, ziemię przed nimi ucałował i stanął, pokornie chyłąc głowę. Pan domu pozwolił mu spocząć, a gdy tragarz usiadł, zbliżył się do niego i począł go bawić rozmową, odnosząc się doń przyjaźnie. Podsunął mu potrawy wykwintne, drogie i smaczne, więc przybliżył się Sindbad Tragarz i rzekłszy: „W imię Allacha”, spożywał tak długo, aż zaspokoił głód i nasycił się. Potem rzekł: „Chwała Allachowi na wieki”, umył dłonie, podziękował za przyjęcie, a pan domu wtedy się odezwał: „Miło mi ciebie widzieć i życzę ci, aby dni twoje błogosławieństwo Boże wypełniało. Jak ci na imię i czym się trudnisz?” Odpowiedział: „Panie mój, nazywam się Sindbad Tragarz, a zajęciem moim jest dzwiganie na głowie ciężarów innych ludzi, za co otrzymuję zapłatę.” I uśmiechnął się pan domu, i powiedział: „Wiedz zatem tragarzu, że imię masz takie samo jak ja. Nazywają mnie bowiem Sindbad Żeglarz. A teraz, mój tragarzu, daj mi raz jeszcze posłuchać wierszy, któreś mówił stojąc pod bramą.”

I zawstydził się Sindbad Tragarz, i rzekł: „Na Allacha, nie miej mi za złe tych słów, które wtedy powiedziałem. Wyrwały mi się, gdyż zaprawdę zmęczenie, trud i niedostatek nie uczą człowieka oglądy, tylko gburą zeń czynią.” Pan domu jednak powiedział: „Nie wstydz się, jesteś odtąd moim bratem. Powtórz te wiersze, bo zachwyciły mnie, kiedy słuchałem ich, gdy wypowiadałeś je stojąc u bramy.” Powtórzył więc tragarz swoje wiersze, a pan domu wysłuchawszy ich zdumiał się i rozpromienił, a potem rzekł: „Wiedz, o tragarzu, że moje dzieje są niezwykle. Dam ci je poznać, opowiadając, co się ze mną działo i co mi się przydarzyło, zanim osiągnąłem ten dobrobyt i zanim zamieszkałem w tym domu, w którym mnie teraz oglądasz. Zaprawdę, do tego dobrobytu i domu doszedłem drogą wielkich znojów, trudów i rozlicznych niebezpieczeństw. Ach, ileż udręki i nieszczęść doświadczyłem w młodym wieku! Odbyłem siedem podróży, a każda podróż to opowiadanie, od którego umysł się mąci. A wszystko to działo się zgodnie z wyrokiem losu, albowiem nie ma ucieczki ani odwołania od tego, co komu zostało zapisane.” To rzekłszy Sindbad Żeglarz rozpoczął:

Pierwsze opowiadanie Sindbada Żeglarza dotyczące podróży pierwszej

Wiedźcie, o szlachetni panowie, że ojciec mój był jednym z najzamożniejszych kupców, miał wiele pieniędzy i znaczny majątek. Zmarł on, gdy byłem małym chłopcem, pozostawiając mi w spadku pieniądze,

kosztowności i wiejską posiadłość. Gdy podrosłem, na wszystkim tym położyłem swą rękę. Jadałem wykwintne potrawy, piłem wyszukane trunki, nie stroniłem od towarzystwa młodzieży i strojąc się w piękne szaty, zabawiałem się wraz z moimi przyjaciółmi i towarzyszymi. Zdawało mi się, że będzie to trwało wiecznie i wyjdzie mi na dobre. Żyłem tak beztrosko przez pewien czas, a gdy mi wreszcie rozum wrócił i opamiętałem się, spostrzegłem, że majątek mój skurczył się, a tym samym położenie moje całkiem się odmieniło. Roztrwoiłem bowiem wszystko i gdy zdałem sobie z tego sprawę, ogarnęły mnie zgroza i przerażenie i wspominałem zdanie, które mi kiedyś ojciec powiedział. Była to przypowieść pana naszego Sulejmana, syna Dauda – pokój im obu – a przypowieść ta mówi: Trzy rzeczy lepsze są od trzech innych: dzień śmierci od dnia narodzin, pies żywy od martwego lwa i grób od ubóstwa. Zebrałem tedy, co mi jeszcze pozostało z domowych sprzętów i szat, i sprzedałem to wszystko. Później sprzedałem również dom razem ze wszystkim, co jeszcze posiadałem, i zebrałem w ten sposób trzy tysiące dirhemów. Wtedy powstał w mej głowie pomysł, aby się udać w podróż do obcych krajów i ludów, i przypomniałem sobie wiersz pewnego poety, który mówił:

Kto swego trudu nie szczeni, ten celu dopiąć jest mocen,
Kto pragnie wznieść się wysoko, ten czuwa we dnie i w noce,
Kto pereł szuka, ten w morską musi pogrążyć się wodę,
A los mu za to fortunę i sławę daje w nagrodę.
Ale kto chciałby zwyciężać, nie idąc w znoje i trudy,
Ten jeno życie utraci, nic nie znalazłszy krom złudy.

Powziąłem więc postanowienie i poszedłem kupować różne towary, sprzęty i wszystko, co jest konieczne do drogi. Najbardziej odpowiadała mi podróż morzem, przeto wsiadłem na statek i wraz z gromadą innych kupców popłynąłem ku Basrze. Potem wiele dni i nocy spędziliśmy na morzu, mijając wyspę za wyspą, płynąc z morza na morze i od lądu do lądu, a w każdym miejscu, gdzieśmy się zatrzymywali, sprzedawaliśmy i kupowaliśmy, wymieniając nasze towary na inne. Tak podróżując ujrzeliśmy pewnego razu wyspę podobną do rajskiego ogrodu. Kapitan skierował nasz statek do brzegu, zarzucił kotwicę i spuścił pomost. Wszyscy zeszli na ląd, poczęli przygotowywać ogniska i rozniecać ogień. Jedni zajęli się gotowaniem, inni przystąpili do prania, a jeszcze inni zażywali przechadzki. Ja byłem wśród tych, co brzegi wyspy zwiedzali. Gdy tak podróżni spędzali czas zajęci jedzeniem, pićciem, zabawą i rozrywkami, kapitan stanął nagle przy burcie i wielkim głosem zakrzyknął: „O beztroscy podróżni, ratujcie się, spieszcie co tchu i wchodźcie na pokład! Nie zwlekaj-

cie, zostawcie wasze rzeczy, a uchodźcie z życiem, dusze wasze ratując przed zagładą! Oto bowiem wyspa, na której się znajdujecie, nie jest wcale prawdziwą wyspą, ale ogromną rybą, która stoi na środku morza od tak dawna, że zdążył ją pokryć piasek i drzewa na niej wyrosły. Ale w chwili, gdy roznieciliście na niej ogniska, ryba poczuła gorąco, drgnęła i teraz oto razem z wami pogrąża się w wodzie. Potoniecie wszyscy, ratujcie więc dusze wasze przed zgubą.”

Podróźni, usłyszawszy słowa kapitana, porzucili swe towary i rzeczy, kociołki i ogniska i spiesznie poczęli cisnąć się na statek. Jedni zdążyli wejść na pokład, ale byli i tacy, którym to się nie udało. Tymczasem wyspa zadrżała i wraz ze wszystkim, co na niej było, pogrążyła się w odmęty, a szumiące morze przykryło ją spienionymi falami. Ja należałem do tych, co pozostali na wyspie, i zalało mnie morze wraz z gromadą innych, którzy wnet utonęli. Wszelako Allah Najwyższy uratował mnie i wybawił z topieli, darowując mi wielki ceber drewniany, jeden z tych, w których moi współtowarzysze prali. Chwyciłem go obiema rękami i usiadłem w nim, ciesząc się w duszy z tego, że żyję. Uderzałem w wodę obiema nogami, naśladując nimi ruchy wiosła, lecz fale igrały ze mną, raz w lewo, raz w prawo mnie rzucając. Tymczasem kapitan rozwinął już żagle i odpłynął z tymi, którzy zdążyli wsiąść na statek, nie oglądając się na tych, którzy tonęli. Patrzyłem na statek, dopóki nie zniknął mi sprzed oczu, i pomyślałem, że oto nadszedł mój kres.

W tym położeniu zastała mnie noc i tak przetrwałem ją całą, a potem następny dzień, aż w końcu fale i wiatr okazały mi swą łaskawość i zanosły mnie ku brzegom wysokiej wyspy, porostej drzewami, których gałęzie zwisały nisko nad powierzchnią morza. Chwyciłem gałąź jednego z wysokich drzew i uczepiłem się jej, a bliski już byłem zguby – po czym wspiąłem się po niej i w ten sposób mogłem wreszcie wdrapać się na wyspę. Na obu stopach miałem obrzmienia i ślady ukąszeń ryb, których przedtem nawet nie zauważyłem, pogrążony w strachu, smutku i rozpacz. Padłem na ziemię wyspy jak martwy, straciłem przytomność i padłem bez zmysłów. Tak trwałem aż do następnego dnia. Gdy się nazajutrz ocknąłem, słońce stało już nade mną wysoko. Nogi mając popuchnięte, w opłakanym stanie, począłem posuwać się przed siebie, to pełznąc, to znów sunąc na grzbiecie. Na wyspie były źródła ze słodką wodą i dużo różnych owoców, więc żywiłem się nimi. Tak minęło wiele dni i nocy, aż powoli dusza we mnie poczęła ożywać, siły mi wracały, ruchy stały się pewniejsze i mogłem pozbierać myśli. Zacząłem wędrować po brzegach wyspy i spomiędzy drzew spoglądałem na to, co stworzył Allah Najwyższy.

Aż pewnego dnia dostrzegłem podczas jednego z takich spacerów

jakaś postać w oddali. Pomyślałem, że jest to dzikie zwierzę albo jakiś morski stwór. Ruszyłem w jego kierunku i bacznie mu się bez przerwy przyglądałem. A był to ogromny koń, uwiązany na skraju wyspy, nad brzegiem morza. Gdy znalazłem się blisko, zarżał na mój widok wielkim głosem. Przeraziłem się, ale nie chciałem zawracać. Wtem spod ziemi wyszedł jakiś człowiek, przywołał mnie do siebie i zapytał: „Kim jesteś, skąd przybywasz i w jakim celu przyszedłeś w to miejsce?” Odrzekłem: „Panie mój, jestem cudzoziemcem. Płynąłem na pewnym statku, a potem z paru innymi podróżnikami tonąłem w morzu, lecz Allah podarował mi drewniany ceber, a ja wsiadłem doń i płynąłem w nim, aż fale wyniosły mnie na tę wyspę.” Wysłuchawszy, co rzekłem, człowiek ów chwycił mnie za rękę i powiedział: „Chodź ze mną.” Usłuchałem go, a on zaprowadził mnie do wielkiej podziemnej komnaty, posadził mnie na środku, po czym przyniósł mi różne potrawy do jedzenia. Byłem głodny, więc jadłem tak długo, aż się nasyciłem. Potem człowiek ów począł mnie wypytywać, jak się teraz czuję i co mnie spotkało, więc opowiedziałem mu dokładnie o wszystkich moich przygodach od początku do końca.

Opowieść moja wprawiła go w zdumienie, a ja skończywszy ją, rzekłem: „Na Allacha – oby On cię nie opuszczał, o panie mój – nie miej mi za złe, ale skoro ja już opowiedziałem ci o moich losach i o tym, co mi się przytrafiło, chciałbym się teraz dowiedzieć, dlaczego siedzisz tu, w tej podziemnej komnacie, i dlaczego tę klaczkę uwiązałeś nad brzegiem morza?” Na to on mi odpowiedział: „Wiedz, że należę do grupy ludzi, którzy przebywają rozproszeni na tej wyspie, u jej brzegów. Jesteśmy koniuchami króla Mahradžana i pod naszą opieką pozostają wszystkie konie, które ten król posiada. Każdego miesiąca, kiedy nów się pokaże, przychodzimy tu z klaczami, co rano uwiązujemy je na brzegu wyspy, a sami chowamy się w tej komnacie pod ziemią tak, aby nikt nas dojrzeć nie mógł. Wtedy zwabione zapachem klaczy pojawiają się ogiery spośród morskich koni, wychodzą na ląd i rozglądają się wokoło, a nie widząc nikogo, pokrywają klacze i zaspokajają z nimi swe żądze. Potem zeskakują z nich i chcą je z sobą uprowadzić, ale one będąc na uwięzi, nie mogą podążyć za nimi. Ogiery krzyczą na klacze, trącają je łbami, wierzgają i rżą przeraźliwie. A gdy tylko my usłyszmy rzenie, wychodzimy wrzeszcząc i ogiery przestraszone powracają do morza, brzemienne klacze zaś pozostają u nas i rodzą potem źrebiaki lub małe klaczki, wartości całego skarbu złota. A podobnych nie ma na całej powierzchni ziemi. Teraz właśnie jest pora, gdy mają się pojawić ogiery, a jeśli Allah zechce, zabiorę cię potem z sobą do króla Mahradžana i pokażę ci nasz kraj. A wiedz, że gdybyś nas tu nie spotkał i nie przyłączył się do nas, nikogo innego nie znalazłbyś w tym miejscu i zginąłbyś marnie,

a nikt by się o tobie nie dowiedział. Ja postaram się jednak, abyś żył i abyś kiedyś mógł do swojej ziemi rodzinnej powrócić." Zwróciłem się więc do Allacha o błogosławieństwo dla niego i dziękowałem mu za jego dobroć i życzliwość.

A gdy my byliśmy pochłonięci rozmową, z morza wynurzył się ogier, zarżał donośnie i zaraz pokrył klacz. A skoro już uczynił z nią, co zamierzał, zeskoczył z niej i chciał ją z sobą uprowadzić. Wiergął i rżał na nią, a wtedy koniuch ujął w dłonie miecz i tarczę i wybiegłszy z komnaty, począł nawoływać swych towarzyszy słowami: „Wychoďte, dalej na ogiera!” I walił mieczem w tarczę, aż nadbiegła cała wrzeszcząca gromada z włóczyniami. Ogier wystraszył się i uciekł przed nimi, swoim zwyczajem wskakując do morza i niczym bawół błotny zanurzył się pod wodą. Wówczas mój towarzysz usiadł na chwilę, aby odpocząć, lecz wnet nadeszli jego towarzysze, a każdy z nich wiódł z sobą klacz. Gdy mnie zauważyli, zapytali, kim jestem, a ja opowiedziałem im wszystko, tak jak już przedtem opowiedziałem tamtemu. Później koniuszowie podeszli do mnie bliżej, rozpostarli obrus i zasiedli do jadła, zapraszając mnie, więc jadłem z nimi. A gdy się pożywili, wstali, dosiedli koni i zabrali mnie z sobą, pozwoliwszy mi dosiąść jednego z rumaków.

Ruszyliśmy w drogę i jechaliśmy przed siebie bez przerwy, aż wreszcie przybyliśmy do miasta króla Mahradžana. Moi towarzysze podróży pospieszyli do króla i opowiedzieli mu o moich przygodach, po czym król wezwał mnie do siebie. Zaprowadzono mnie tedy przed królewskie oblicze, ja pozdrowiłem króla, a on oddał mi pozdrowienie i witając mnie życzliwie, począł wypytywać mnie o moje sprawy. Opowiedziałem mu wszystko, co mi się zdarzyło, mówiłem o każdej przygodzie od początku do końca, a król był zdumiony słysząc to wszystko. Rzekł: „Synu mój, na Allacha, ocalenie twoje było niezwykle. Pisane ci jest zapewne długie życie, gdyż inaczej nie udałoby ci się uniknąć nieszczęścia. Chwała Allahowi za tve ocalenie!” Potem król okazał mi wielkie względy i przychylność pozwalając mi usiąść przy sobie, i gawędził ze mną jak życzliwy przyjaciel. A potem powierzył mi urząd zarządzającego morskim portem, gdzie miałem spisywać wszystkie przybijające do lądu statki.

Tak więc pozostałem tam i wypełniałem moje obowiązki, król zaś był łaskaw dla mnie i obdarowywał mnie przy każdej nadarzącej się sposobności. Dostałem od niego piękne, wspaniałe szaty i stałem się jednym z najwyższych jego urzędników, czuwających nad sprawami ludzi. I długi czas pełniłem tę służbę, lecz ilekroć znalazłem się na brzegu morza, rozpytywałem podróżnych, kupców i żeglarzy o miasto Bagdad. Myślałem, że ktoś będzie mógł udzielić mi jakichś wiadomości, a wtedy może z nim razem pojechałbym do tego miasta



i wróciłbym do rodzinnego kraju. Nikt jednak nic o Bagdadzie nie słyszał ani też nie znał takiego żeglarza, który by się do Bagdadu wybierał. Przygnębiło mnie to i pogrążyłem się w smutku z powodu tak długotrwałego oddalenia od mej ojczyzny. Zmartwienie to nie opuszczało mnie przez długi czas, aż pewnego dnia zaszedłem do króla Mahradžana i zastałem u niego gromadę Hindusów. Pozdrowiłem ich, a oni oddali mi pozdrowienie i po słowach powitania poczęli mnie rozpytywać o mój kraj, ja zaś spytałem o ich ojczyznę. Hindusi powiedzieli mi, że należą do rozmaitych kast, że jedni z nich należą do najszlachetniejszej kasty zwanej Szakirija i nie zadają nikomu gwałtu ani nieprawości żadnej nie wyrządzają. Inni, zwani bramina-
mi, nie piją wina, a mimo to są szczęśliwi, weselą się i pędzą życie wśród śpiewu i rozrywek, mają wielbłądy, konie i bydło. Od nich dowiedziałem się, że naród hinduski dzieli się na siedemdziesiąt dwie kasty i zdumiało mnie to wielce. A w państwie króla Mahradžana oglądałem jeszcze pewną wyspę, należącą do wysp archipelagu, zwaną Kabil, na której przez całą noc słychać bicie w bębny i tamburyny. Wyspiarze i podróżni opowiadali jednak, że żyją tam ludzie poważni i rozumni. Widziałem też w owym morzu rybę, której długość wynosiła dwieście łokci, widziałem też inną o pysku podobnym do sowiego. I widziałem w czasie tej podróży rozliczne cuda i różne dziwy, ale gdybym o nich wszystkich chciał wam opowiadać, opowieść moja byłaby nazbyt długa.

Tak więc oglądałem te wyspy i wszystko, co się na nich znajdowało, aż pewnego dnia, gdy wedle swojego zwyczaju stałem na morskim brzegu, dzierżąc w dłoni laskę, nadpłynął wielki statek wiozący licznych kupców. Wpłynawszy do portu naszego miasta, kapitan opuścił żagle, zarzucił kotwicę przy brzegu i przerzucił pomost, a załoga poczęła wynosić wszystko, co było na statku. Pracowali powoli przy wyładunku, a ja stałem przy tym spisując towary. Na koniec spytałem kapitana: „Czy nic więcej nie zostało na twoim statku?” Odrzekł: „Panie mój, są jeszcze u mnie na statku towary, ale właściciel ich utonął w pobliżu jednej z wysp, gdy my już wypłynęliśmy na morze. Jego towary pozostały u nas i przechowywaliśmy je z myślą, aby je sprzedać, biorąc na ich cenę pokwitowanie, a potem chcieliśmy doręczyć pieniądze jego rodzinie w Bagdadzie, Przybytku Pokoju.” Wtedy zapytałem kapitana: „Jak zwał się ten człowiek, właściciel towarów?” Oparł: „Sindbad Żeglarz miał na imię ten podróżny, który utonął nam w morzu.” Słuchając tych słów przyjrzałem się kapitanowi bacznie, a gdy poznałem go, zawołałem wielkim głosem te słowa: „Wiedz, kapitanie, że to ja jestem właścicielem towarów, o których wspominałeś. Ja jestem Sindbad Żeglarz, ten sam, co zszedł wówczas razem z całą gromadą kupców na wyspę, która

była ogromną rybą. A gdy owa ryba drgnęła, ty zaś krzyknąłeś do nas, ocalał ten tylko, kto zdołał dostać się na statek. Reszta natomiast utonąła w morzu, a ja byłem wśród tych, których pochłonęło morze. Lecz Allah Najwyższy ocalił mnie i uratował przed utonięciem darowując mi wielki drewniany ceber, jeden z tych, w których podróżni prali swą odzież. Wlazłem do niego i wiosłowałem nogami, a że fale i wiatr były mi przychylne, dopłynąłem do tej oto wyspy. Znalazszy się na niej, znowu doświadczyłem pomocy Allacha i przystałem do koniuchów króla Mahradžana. Oni to zabrali mnie z sobą do tego miasta i przyprowadzili przed swego króla. Gdy mu swe dzieje opowiedział, król obsypał mnie dobrodziejstwami i mianował swym zarządcą portu tego miasta. Staralem się być pożyteczny w owej służbie i pozyskałem sobie zaufanie króla. Tak więc towary, które masz pod pokładem, są moimi towarami i mój dobytek stanowią.” Kapitan zakrzyknął na to: „Nie ma potęgi ni siły poza Allahem Wielkim i Mocnym. Nie można mieć o niczym pewności ani nikomu zaufać!” Zapytałem: „Dlaczegoż to kapitanie? Przecież slyszales, com ci o mych przygodach mówił!” Kapitan odrzekł: „Slyszales, jak mówiłem, że są u mnie towary, których właściciel utonął, i teraz chcesz je sobie bezprawnie przywłaszczyć, a tego nie wolno ci czynić! Widzieliśmy przecież, jak człowiek ten utonął. Było z nim razem wielu innych podróżnych i żaden z nich się nie uratował. Jakże więc śmiesz podawać się za właściciela tych towarów?” Rzekłem: „Kapitanie, wysłuchaj moich słów, a gdy pojdziesz ich treść, łatwo z nich poznasz moją prawdomówność, zaiste bowiem kłamstwo zdradza obłudników.”

Potem opowiedziałem mu wszystko, co przygodziło mi się od chwili, gdy wraz z nim wyruszyłem z Bagdadu, aż do przybycia na ową wyspę, która będąc rybą, zanurzyła się z nami do morza. Przypomniałem mu również pewne sprawy, które zaszły tylko między nami dwoma. Wtedy kapitan i kupcy przekonali się, że mówię prawdę, poznali mnie i wszyscy radowali się mym ocaleniem mówiąc: „Na Allacha, nie przypuszczaliśmy, żeś uniknąć zguby potrafił, a oto Allah podarował ci nowe życie!” Potem zwrócili mi towary, na których znalazłem wypisane moje imię, a nic spośród nich nie brakowało. Rozpakowałem je i wydobyłem przedmioty najcenniejsze, o wielkiej wartości, po czym poniosłem je wraz z kilkoma ludźmi z załogi statku do króla Mahradžana, aby mu te kosztowności złożyć w podarunku. I powiedziałem mu, że statek, który właśnie przypłynął, jest tym samym, na którym ja podróżowałem, powiadomiłem go też, że moje towary przybyły tu w całości i nienaruszone, a dary, które przynoszę, stanowią ich część.

Król zdziwił się tą sprawą niesłychanie, a zarazem przekonał się, że

wszystko, co mu kiedyś opowiadałem, było prawdą. I pokochał mnie miłością jeszcze większą niż dotychczas, obsypał mnie zaszczytami i w zamian za moje dary ofiarował mi wiele rozmaitych upominków. Ja zaś sprzedałem wszystkie moje towary z bardzo wielkim zyskiem i zakupiłem w owym mieście mnogość innych towarów i rozmaitych rzeczy. A kiedy kupcy, którzy tu przyłynęli na owym statku, poczęli gotować się do odjazdu, załadowałem i ja na statek wszystko, com miał, i udałem się do króla. Podziękowałem mu za jego łaskawość i dobrodziejstwa i poprosiłem, aby mi pozwolił wrócić do mego kraju i do moich ziomeków. Pożegnał mnie tedy król Mahradżan i obdarował mnie na drogę licznymi cennymi przedmiotami, które w tym mieście wyrabiano. Potem rozstałem się z królem, wsiałem na statek i z woli Allacha Najwyższego rozpoczęliśmy podróż, a szczęście nam dopisywało i losy nam były łaskawe.

Tak płynęliśmy bez ustanku dniami i nocami, aż pomyślnie przybyliśmy do miasta Basry i wysiedliśmy na ląd. Nie zabawiliśmy tam wszakże długo, ja radowałem się tym, że szczęśliwie w rodzinne strony wróciłem, i wkrótce potem udałem się do Bagdadu, Przybytku Pokoju. Miałem ze sobą wielką ilość juków z towarami i innymi przedmiotami, a wszystko to posiadało dużą wartość. Gdy przybyłem do mojej dzielnicy i wszedłem do mojego domu, cała rodzina zebrała się, by mnie powitać. Potem zacząłem kupować rzezańców, służących, mameluków, nałożnice i niewolników, aż wielką liczbę ich miałem w posiadaniu. Nabyłem też domów, placów i wiejskich posiadłości więcej nawet, niż ich przedtem miałem. I odwiedzałem przyjaciół, i weseliłem się z moimi towarzyszami jeszcze bardziej, niż to dawniej bywało. Zapomniałem o wszystkich trudach, jakich doznałem na obczyźnie, a także o udrękach i niebezpieczeństwach, jakich doświadczyłem w podróży, i oddałem się przyjemnościom i rozkoszom płynącym z doskonałego jadła i wybornych trunków, i długo w takim stanie trwałem. Takie były przypadki pierwszej mojej podróży. Jutro, jeśli Allah Najwyższy pozwoli, dam wam usłyszeć drugie spośród siedmiu opowiadań o moich morskich podróżach.

Potem Sindbad Morski ugościł u siebie Sindbada Lądowego, kazał mu dać sto miskali złota i rzekł: „Sprawiłeś mi przyjemność swoim towarzystwem.” Tragarz podziękował wówczas, zabrał dary i ruszył w swoją drogę, rozmyślając nad tym, co mu się przydarzyło, i nad tym, co spotyka innych ludzi, i dziwował się wielce. A gdy nastał ranek, udał się do domu Sindbada Żeglarza i wszedł do środka. Gospodarz przyjął go z szacunkiem i ugościł wspaniale, usadowiwszy przy sobie. Potem przybyła reszta jego przyjaciół, podano potrawy i napoje i w ten sposób przyjemnie i radośnie czas im płynął, aż Sindbad Żeglarz tymi słowy o swych przygodach mówić począł:

Drugie opowiadanie Sindbada Żeglarza dotyczące podróży drugiej

Wieść niesie, o królu szczęśliwy, że gdy przyjaciele zebrali się u Sindbada Żeglarza, ów tak im opowiadał: Zaiste, wiodłem żywot rozkoszny, ale pewnego dnia przyszło mi na myśl, aby znów udać się w podróż do nieznanych krajów i ludów. Moja dusza podszeptowała mi, abym zajął się kupiectwem, gdyż w ten sposób, zarabiając na życie, mógłbym oglądać różne kraje i wyspy. Począłem więc przygotowywać się do tego przedsięwzięcia i z majątku swego wydałem niemało na zakup towarów i wszystkich innych rzeczy potrzebnych do drogi. Potem zapakowałem to wszystko i udałem się na wybrzeże. Tam zastałem nowy, okazały statek, ozaglowany piękną tkaniną, mający liczną załogę, zasobny i we wszystko zaopatrzone, więc załadowałem nań swoje rzeczy. Wraz ze mną była na statku spora gromada innych kupców i odpłynęliśmy jeszcze tego samego dnia. Podróż układała się nam pomyślnie i nie ustając płynęliśmy z morza na morze i z wyspy na wyspę, a w każdym miejscu, gdzieśmy kotwicę zarzucali, spotykaliśmy kupców i ludzi możnych, sprzedających i kupujących, i sami też uprawialiśmy handel i wymienialiśmy towary.

Tak było, dopóki los nie rzucił nas na piękną wyspę, gdzie dojrzwały owoce soczyste, gdzie rosło wiele drzew rosochatych i gdzie przepięknie pachniały kwiaty, gdzie była ptaków śpiewających przystań, a w rzekach woda przezroczysta. Nie było na niej tylko żadnych domostw ani nikogo, kto by rozpałał ogniska. Kapitan zarzucił przy owej wyspie kotwicę, a kupcy i inni podróżni wysiedli na ląd, aby popatrzeć na ptaki i drzewa tam rosnące, by słać Allacha Jedynego, Wszechmogącego i podziwiać moc Pana Przepotęźnego. W tym samym celu i ja za innymi na wyspę zszedłem i usiałem nad jednym z przejrzystych źródeł pomiędzy drzewami. Miałem ze sobą jadło, więc siedząc tam spożyłem to, co mi dał Allah Najwyższy. Muskał mnie miły wietrzyk, czas przyjemnie płynął i senność zaczęła mnie morzyć. Ległem tedy i we śnie się pogrążyłem, ukołysany pieszczotą łagodnego wietrzyku i upojony słodkimi woniami.

Gdy potem wstałem ze snu, żywej duszy koło siebie nie znalazłem. Statek wraz z innymi podróżnymi odpłynął, a nikt spośród kupców ani wioślarzy nie zatroszczył się o mnie, tak że na owej wyspie mnie pozostawili. Rozglądałem się na prawo i na lewo, ale nikogo poza mną tam już nie było, przeto ogarnął mnie smutek tak ogromny, że trudno sobie wyobrazić większy i o mało mi żółć nie pękła od ogromnego żalu, rozpaczy i wielkiego utrapienia. W dodatku nie miałem przy sobie żadnych rzeczy potrzebnych człowiekowi, nie

miałem jedzenia ani picia i stałem tak w osamotnieniu, z duszą udęconą, i nad życiem swym bolałem mówiąc: „Nie zawsze dzban pozostać może cały! Ocalałem za pierwszym razem, gdyż spotkałem kogoś, kto zabrał mnie z samotnej wyspy do zamieszkanego kraju. Ale teraz daleko, och jakże daleko mi do tego, abym tu spotkał jakiegoś człowieka, który by mnie stąd wywiódł do jakiegoś kraju, gdzie ludzie mieszkają!” I tak płakałem, i wzdychałem nad sobą, i w smutku winiłem się za to, co uczyniłem, i za to, że nowe podróże i trudy przedsięwziął zamiast w swoim domu wypoczywać i w kraju rodzinnym pozostać. Byłem tam przecież taki szczęśliwy, raczyłem się dobrym jadłem i napitkiem, miałem piękne stroje i nie brakowało mi niczego: ani pieniędzy, ani towarów!

I rozpacziałem nad tym, że opuścił Bagdad i znów na morze się wypuściłem, niepomyślnych wszystkich trudów, jakich doznałem w mej pierwszej podróży, której mało życiem nie przypłaciłem. I rzekłem: „Zaprawdę, od Allacha pochodzimy i do Niego powrócimy.” Ale szaleństwo już mnie prawie ogarnęło, wstałem więc i krążyłem po wyspie to w prawo, to w lewo się kierując, gdyż nie byłem w stanie wytrzymać na jednym miejscu. Potem wspiąłem się na wysokie drzewo i z wierzchołka patrzyłem na wszystkie strony. Z początku nie widziałem nic prócz nieba i wody, drzew, wysp i piasków, ale potem, gdy lepiej wzrok natężyłem, dostrzegłem w oddali na wyspie jakiś biały kształt ogromnych rozmiarów. Zlazłem z wierzchołka drzewa, zwróciłem się w stronę tego czegoś białego i ruszyłem ku niemu krocząc tak długo, aż do niego dotarłem. Jak się okazało, była to wielka biała kopuła, wysoko ku górze wzniesiona i bardzo wielka w obwodzie. Podeszedłem bliżej i okrążyłem tę kopułę, ale nigdzie wchodu do niej nie znalazłem, a nie miałem siły ani zwinności, aby się na nią wdrapać, gdyż powierzchnia jej była niezwykle gładka. Oznaczyłem więc sobie miejsce, w którym stałem, i obszedłem kopułę wokoło po to, by wiedzieć, ile jej obwód wynosi – a było to pięćdziesiąt pełnych kroków. Gdy tak dumałem nad sposobem dostania się do wnętrza kopuły, dzień zaczął się kończyć i słońce pochyliło się ku zachodowi. Potem słońce nagle znikło, niebo pociemniało i światło słoneczne całkiem skryło się przed moimi oczami. Pomyślałem, że to chmura przykryła słońce, i zdumiałem się, gdyż była to pora lata. Podniosłem głowę i szukając przyczyny tego zjawiska, dostrzegłem ogromne ptaszysko o potężnym ciele i szeroko rozpostartych skrzydłach, które lecąc w powietrzu przysłoniło słońce, odbierając wyspie jego światło. Moje zdumienie wzrosło jeszcze bardziej i przypomniałem sobie pewne opowiadanie, dawno zasłyszane od podróżników i pielgrzymów, którzy dalekie wyprawy odbyli. Według opowieści tej na odległych wyspach żyje ptak ogromnego wzrostu,

zwany Ruch, który swoje małe karmi słoniami. I nabrałem pewności, że kopuła, którą właśnie zobaczyłem, jest jajem Rucha, i podziw mnie ogarnął nad tym, co Allach Najwyższy stworzył. Gdym tak trwał w zdumieniu owym, ptak opuścił się na kopułę, objął ją skrzydłami, i nogi do tyłu wyciągnawszy, zasnął – niechaj będzie pochwalony Ten, który nigdy nie śpi! Wtedy podniosłem się, zdjąłem z głowy turban, rozłożyłem go i skręciłem na podobieństwo powroza, opasałem się nim i przy jego pomocy uwiązałem się mocnym węzłem do nogi tego ptaka. W duszy mówiłem sobie: „Może on zanieś mnie do jakiegoś kraju, gdzie są miasta i gdzie ludzie mieszkają. Zaprawdę, to chyba będzie lepsze niż pozostanie na tej wyspie.”

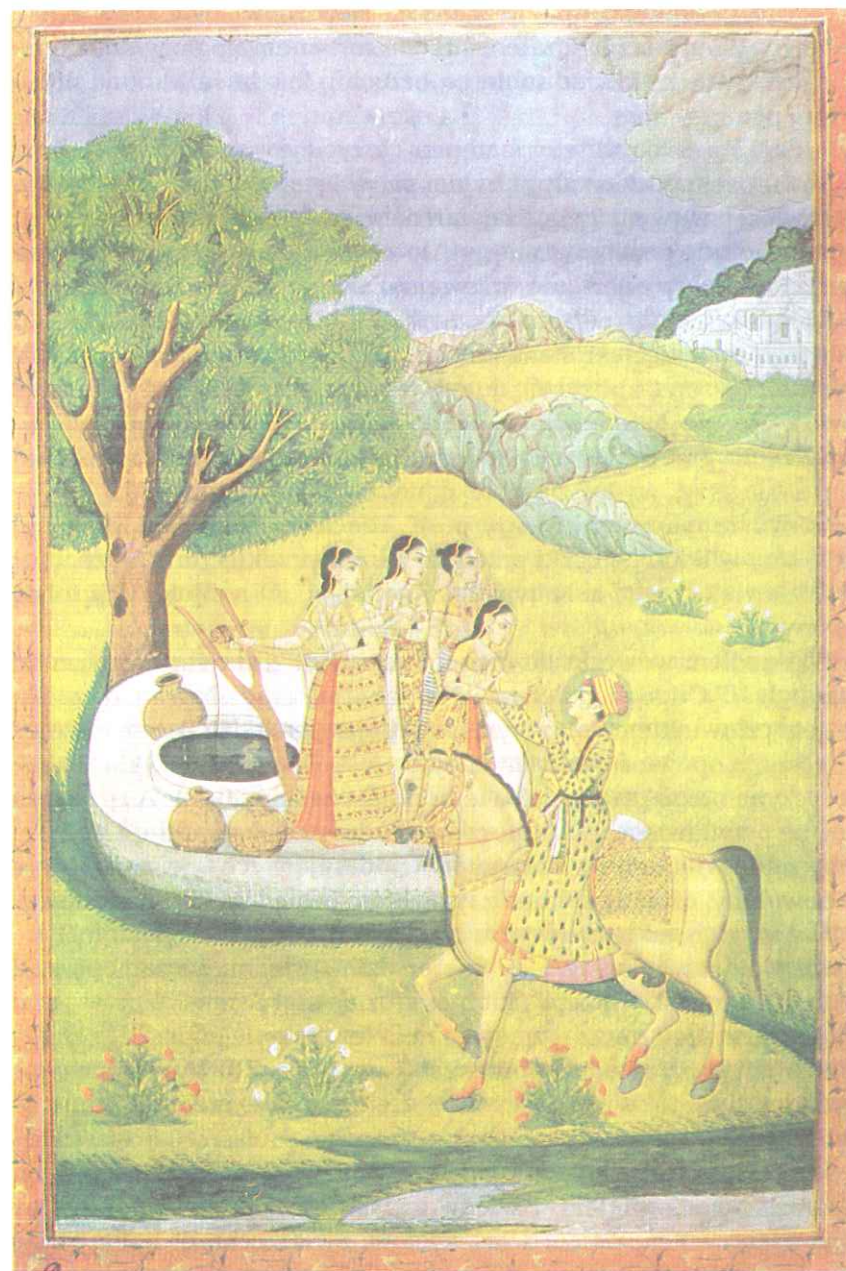
Noc tę spędziłem czuwając, w obawie, że ptak Ruch uniesie mnie i odleci ze mną, zanim zdążę się obudzić. Gdy ranek nastał i zajaśniał świt, ptak podniósł się ze swego jaja, zakrzyczał wielkim głosem i uniósł mnie w przestworza tak wysoko, że myślałem, iż do krańców nieba leci. Potem obniżył swój lot, opuścił się na ziemię i usiadł na jakimś stromym, wyniosłym miejscu. Ledwo poczułem pod sobą ziemię, zacząłem pospiesznie odwiązywać węzeł z jego nogi, tak aby mnie nie zauważył, gdyż bałem się go bardzo. Rozplątawszy turban uwolniłem się od ptaka i drżąc odszedłem z tego miejsca. Zaraz potem ptak porwał coś z ziemi w swe szpony i odleciał w górę ku obłokom. Przyjrzałem się temu, co niósł, i zobaczyłem, że był to olbrzymi, długi wąż. Ruch poszybował nad morze, a ja rozglądałem się zdumiony po okolicy. Byłem sam na wzniesieniu, a poniżej ciągnęła się rozległa i głęboka dolina, otoczona wokół ogromnymi, strzelistymi górami. Były one tak wysokie, że nikt nie mógłby dostrzec ich wierzchołka, a były przy tym tak strome, że nikt by się na nie wdrapać nie powążył.

I znów zacząłem robić sobie wyrzuty za to, co uczynił. Mówiłem: „Ach, trzeba mi było raczej na tamtej wyspie pozostać, gdyż, zaiste, była ona chyba lepsza niżli tutejsze pustkowia! Na wyspie można było znaleźć coś do jedzenia, gdyż były tam różne owoce i wodę z jej strumieni pić było można, tu zaś na próżno by się rozglądać za drzewami, owocami i rzekami! Nie ma potęgi ni siły poza Allachem Wielkim i Mocnym! Oto ilekroć z jednego nieszczęścia znajdę wybawienie, zaraz wpadam w drugie, jeszcze większe i gorsze!” Potem wstałem i zebrawszy całą swą odwagę zszedłem w dolinę. Ujrzałem tam ziemię pokrytą diamentami, to znaczy kamieniami, które służą do wiercenia otworów w minerałach i klejnotach, do cięcia porcelany i onyksu, i są tak twarde i wytrzymałe, że nie skruszy ich ani żelazo, ani skała i nikt nie potrafi ich łupać ani rozbijać inaczej, jak tylko przy pomocy ołowianego kamienia.

Cała dolina roiała się od węży i żmij, a każde z tych stworzeń było na kształt palmy i ogromne takie, że gdyby nawet słoń się zjawił,

z pewnością łatwo potrafiłoby go połknąć. Wężę te wychodzą, kiedy noc zapadnie, a na dzień się chowają. Zapewne boją się porwania i rozszarpania przez ptaka Rucha lub sępy, nie wiem jednak z całą pewnością, dlaczego tak się dzieje. I stałem w tej dolinie rozpaczając nad tym, co uczyniłem, i w duszy mówiłem sobie: „Na Allacha, oto sam sobie zgotowałem zgubę.” Dzień chylił się już ku zachodowi, a ja ciągle krążyłem po dolinie szukając jakiegoś miejsca, w którym mógłbym noc przepędzić. I zapomniałem o jedzeniu i piciu, myślałem jedynie o życiu i o ratunku dla mej duszy. W końcu dostrzegłem niedaleko miejsca, w którym stałem, jakąś jaskinię. Podszedłem bliżej i gdy zobaczyłem, że ma ona ciasne wejście, wśliznąłem się do środka, a znalazłszy przy wejściu wielki głaz, nasunąłem go na wejście zamykając je w ten sposób za sobą. Znalazłszy się w środku powiedziałem do siebie: „Tu jestem bezpieczny. Gdy dzień wstanie, wyjdę i zobaczę, co dla mnie zgotował los.”

Potem rozejrzałem się po wnętrzu jaskini i nagle zobaczyłem tam ogromną żmiję śpiącą pośrodku na jajach. Zdrętwiałem na ten widok i wznosząc głowę ku górze, poleciłem moje sprawy losowi i łasce Opatrzności. Noc tę spędziłem całą nie zmrzywszy oka, a gdy nastał ranek, odwalilem głaz, którym zamknąłem wejście do jaskini, i uciekłem z niej, od wysiłku czuwania, głodu i strachu podobny do szaleńca lub pijanego. I gdy tak szedłem dalej przez dolinę, upadło nagle przede mną wielkie martwe zwierzę, mimo że nikogo w okolicy nie było. Zdziwiłem się zdziwieniem niesłychanym i przypomniałem sobie opowieść zasłyszaną już dawno od kupców i podróżników, co dalekie wyprawy odbywają. Mówili oni, że w Górach Diamentowych czyhają ogromne niebezpieczeństwa i nikt nie jest w stanie tam się dostać, ale kupcy zdobywają jednak stamtąd diamenty posługując się chytrym sposobem. Biorą mianowicie owcę ze stada, zarzynają ją i obdzierają ze skóry, potem ćwiartują i ze szczytu góry zrzucają w tę dolinę. Wilgotne mięso spada na dno doliny i przylepiają się do niego kawałki diamentowych kamieni. Kupcy czekają tam do południa, to jest do czasu, gdy nadlatują ptaki z gatunku orłów i sępów, które porywają mięso w swe szpony i wnoszą na szczyty gór. Wtedy kupcy nądbiegają i odstraszaają ptaki krzykiem, chcąc, by odleciały. A gdy to się stanie, mogą podejść bliżej. Zbierają wówczas kamienie poprzylepiane do mięsa, mięso zaś pozostawiają ptakom i dzikim zwierzętom, a kamienie wiozą do swoich krajów. I nikt nie może tych diamentów uzyskać inaczej, jak tylko używając tego podstępu. I ciągnął dalej: Gdy na owo martwe zwierzę spojrzełem, przypomniałem sobie, co mi opowiadano. Wstałem więc, podszedłem doń, zabrałem dużo diamentów i powsadzałem je do kieszeni i w fałdy szat. Potem zbierałem dalej, wpychałem do kieszeni, za pas, w turban i w fałdy ubrania,



a gdy to uczyniłem, upadło u moich stóp znowu wielkie martwe zwierzę. Wtedy przywiązałem się doń turbanem i położyłem się na plecach, zwierzę kładąc sobie na brzuchu, tak że leżało ono nieco wyżej ponad ziemią.

I rzucił się na to zabite zwierzę sęp, chwycił je w swe szpony i uniósł w powietrze, podczas gdy ja byłem przywiązany do zwierzęcia. I nie ustawał sęp w swym locie, aż dotarł na wierzchołek góry, a tam usiadł i przystąpił do pożerania mięsa. Ale z tyłu dały się słyszeć donośne krzyki i odgłosy uderzania drzewem o skalne ściany. Sęp poderwał się przestraszony i odfrunął pod obłoki, a ja oswobodziłem się od zabitego zwierzęcia i stanąłem opodal. Tymczasem kupiec, który krzyczał na sępa, zbliżył się do zabitego zwierzęcia i wtedy zobaczył mnie. Ale nie przemówił do mnie, tylko przerażony podszedł do zwierzęcia, przewracał je to na jedną, to na drugą stronę, a nic na nim nie znalazłszy, wydał z siebie donośny okrzyk i zawołał: „Co za zawód! Nie ma potęgi ni siły poza Allahem Wielkim i Mocnym! Szukamy w Bogu ucieczki przed szejtanem przeklętym!” I rozpacział ów człowiek, i ręce załamywał wyrzekając: „O niedolo! Cóż to się zdarzyło?”

Podszedłem wówczas do niego, a on spytał: „Kim jesteś i po co tu przybyłeś?” Odpowiedziałem: „Nie lękaj się i nie obawiaj, bo zaiste jestem człowiekiem należącym do najlepszych ludzi. Byłem również kupcem, a opowieść o mych dziejach jest długa i niezwykła. Także przyczyna mego przybycia w te góry jest zadziwiająca. A ty się nie bój, bo przyniosłem dla ciebie coś, co duszę twoją rozraduje. Oto mam przy sobie wielką ilość diamentów i podaruję ci ich tyle, że będziesz zadowolony, a każdy kamień z tych, które posiadam, jest piękniejszy od wszystkich, jakie mógłbyś zdobyć sam. Bądź przeto spokojny i nie trwóż się już więcej.” Wtedy kupiec dziękować mi począł, upraszał dla mnie błogosławieństwa niebios i rozmawiał ze mną. Wkrótce inni kupcy posłyszeli naszą rozmowę i również do mnie podeszli, a każdy z nich rzucił przedtem w dolinę zabite zwierzę. Zbliżywszy się więc pozdrowili mnie, wieszowali mi ocalenia, a potem zabrali mnie ze sobą.

I opowiedziałem kupcom całą moją historię, wszystko, co w tej podróży przecierpiałem, i wyjawilem im też, jak się w tej dolinie znalazłem. Potem dałem właścicielowi zwierzęcia, do którego się uwiązałem, znaczną ilość diamentów, które zabrałem ze sobą, a on był rad, modlił się za mnie i dziękował mi, inni kupcy zaś mówili: „Zaiste, nowe życie było ci widocznie pisane, gdyż dotąd nikt, kto w to miejsce zaszedł, nie zdołał się uratować. Niech będą dzięki Allahowi za twe ocalenie!” Noc przepędziliśmy w miłym i bezpiecznym miejscu wszyscy razem, przyłączyłem się bowiem do nich,

uradowany wielce z tego, że jestem bezpieczny, ocalałem z Doliny Węzów i że znalazłem się oto w zamieszkanym kraju. Gdy ranek nastał, podnieśliśmy się i ruszyliśmy przez olbrzymie góry, spoglądając na kłębiące się w dolinie węże.

I nie ustawaliśmy w drodze, aż dotarliśmy do pewnego gaju na wielkiej i pięknej wyspie, gdzie rosły kamforowe drzewa, a w cieniu każdego takiego drzewa mogłoby się schować stu ludzi. Gdy ktoś chce zdobyć sobie kamforę, wierci długim narzędziem otwór wysoko w pniu drzewa i zbiera to, co z niego wypływa. A spływający z otworu sok jest właśnie kamforą, która krzepnie niczym guma. Potem takie drzewo usycha i służy jako opał. A na wyspie tej żyje pewien gatunek dzikich zwierząt, które zwą nosoroźcami. Pasą się one tam podobnie jak bawoły i bydło w naszym kraju, ale ciało mają większe od wielbłąda i żywią się paszą roślinną. Jest to zwierzę ogromne, które pośrodku głowy ma jeden gruby róg, długi na dziesięć łokci, a na nim wyobrażona jest postać ludzka. Na wyspie tej żyje również zwierzę podobne z postaci do byka. Żeglarze, podróżnicy i ludzie, którzy wędrują przez góry i różne odległe lądy, opowiadali mi, że ten dziki zwierz, który nazywa się nosorożec, może wielkiego słonia na swój róg nadziać i nie zauważywszy go nawet, dalej się pasie. Ów słoń na jego rogu umiera, a pod wpływem słonecznego upału topi się jego tłuszcz i kapie na głowę nosoroźca, zalewa mu oczy i oslepia go. Nosorożec kładzie się do snu na brzegu morza, a wtedy przylatuje ptak Ruch, chwyta go w szpony i zanosi swym dzieciom, które pożerają nosoroźca wraz ze słoniem tkwiącym na rogu. Widziałem na tej wyspie również liczne rodzaje i gatunki bawołów, jakich u nas nie spotkałem nigdy.

Z Doliny Węzów miałem mnóstwo diamentów, które przyniosłem z sobą schowane w kieszeniach. Ludzie wymieniali je ze mną na różne towary i wyroby miejscowe, a także dawali mi za nie dirhemy i denary. Tak tedy podróżowałem z owymi kupcami, bez przerwy zwiedzając różne krainy, poznając rozmaitych ludzi i wszystko to, co Allah Najwyższy stworzył. I podróżowaliśmy z doliny w dolinę i z miasta do miasta, po drodze sprzedając i kupując, aż wreszcie przybyliśmy do Basry. Tam popasaliśmy niedługo, po czym ja ruszyłem w drogę do miasta Bagdadu.

Gdy powróciłem ze swojej wyprawy do Bagdadu, Przybytku Pokoju, udałem się do swojej dzielnicy i wszedłem do swojego domu. A miałem ze sobą wielką ilość diamentów, pieniędzy, kosztowności i rozmaitych towarów przedniego gatunku. I zgromadziwszy całą rodzinę i bliskich, obdarowałem ich wszystkich hojnie i obsypałem bogactwami i podarunkami. I znów począłem dobrze jadać i pijać, wytwornie się odziewałem, bawiłem się i od towarzystwa nie stroni-

lem, aż wreszcie zapomniałem o wszystkim, co przecierpiałem. Życie pędziłem wśród rozkoszy, spokojnej byłem myśli i pogodnego ducha, weseliłem się i radowałem, a każdy, kto usłyszał o moim powrocie, zachodził do mnie i pytał o moje przygody i o to, co widziałem w odległych krajach. Opowiadałem tedy, co mnie spotkało i com przecierpiał, a każdy słuchacz podziwiał moje przypadki i cieszył się z mego ocalenia. Oto koniec tego, co zdarzyło mi się i przytrafiło w drugiej mej podróży.

I rzekł Sindbad swym współbiesiadnikom: „Jutro, jeśli Allah Najwyższy pozwoli, opowiem wam o przypadkach mej trzeciej podróży.” A gdy skończył tymi słowami swoje opowiadanie, wszyscy byli zdumieni, po czym podana została wieczerza. Potem Sindbad Żeglarz kazał dać Sindbadowi Tragarzowi sto miskali złota, a on wziął ów dar i wedle zwyczaju oszedł swoją drogą dziwiąc się temu, co przeżył Sindbad Żeglarz, a w domu błogosławił mu i modlił się za niego. A skoro nastał dzień następny i gdy zaświtał brzask, Sindbad Tragarz wstał, odprawił poranne modły i zgodnie z wolą Sindbada Żeglarza udał się do niego w odwiedzinę. Wszedł do domu, pozdrowił gospodarza, a ów go przywitał i siedzieli razem, aż przyszła reszta przyjaciół i towarzyszy biesiady. Jedli wówczas i pili, rozkoszowali się, weselili i bawili, a potem Sindbad Żeglarz znów mówić począł:

Trzecie opowiadanie Sindbada Żeglarza dotyczące podróży trzeciej

Bracia moi, wysłuchajcie mojej opowieści i wiedźcie, że jest ona zaiste jeszcze cudowniejsza niż te, które wam przedtem opowiedziałem. Wszelako Allah jest Wszechwiedzący i On jeden zna swe tajemnice ukryte. Powróciwszy więc z mej drugiej podróży, żyłem w wielkiej radości i szczęśliwości, ciesząc się tym, że ocalałem. Jak już zresztą wiecie z tego, co wczoraj wam opowiadałem, dorobiłem się znacznego majątku i Allah zwrócił mi wszystko, co z jego woli utraciłem. Przez pewien czas przebywałem w Bagdadzie pogrążony w wielkim szczęściu, pogodzie, radościach i weselu. Wszelako dusza moja gorąco zapragnęła podróży i oglądania dalekich krajów i znów postanowiłem zająć się handlem, zarabiać i mnożyć zyski. A że dusza ludzka skłonna jest do złego, przeto po namyśle nakupiłem wielką ilość towarów i rzeczy potrzebnych do drogi, spakowałem je i z tym wszystkim opuściłem Bagdad udając się do miasta Basry.

Przybyłem na brzeg morza i ujrziałem tam wielki statek, a na nim wielu kupców i podróżników – ludzi dobrych i miłych, zacnych,

mądrych, pobożnych i prawych. Wraz z nimi wsiadłem na statek i wyruszyliśmy polecając się błogosławieństwu Allacha, Jego pomocy i opieki. Cieszyliśmy się pomyślnością i bezpieczeństwem i podróżowaliśmy bezustannie z morza na morze, z wyspy na wyspę i z miasta do miasta, a każde leżące na naszej drodze miejsce zwiedzaliśmy, sprzedając tam i kupując, radośni i weseli. Aż pewnego dnia, gdyśmy płynęli przez spienione morze o falach bijących jedna o drugą, kapitan, stojący przy burcie statku i rozglądający się na różne strony, począł nagle bić się po twarzy, a potem rozkazał zwinąć żagle i zarzucić kotwicę. Szarpał przy tym brodę, rozdzierał szaty i krzyczał wielkim głosem. Spytałyśmy więc: „Kapitanie, co się stało?” Odpowiedział: „Wiedzcie, o podróżni – oby pokój i bezpieczeństwo były wam dane – że wichur nas znosi i na środek morza pędzi, a los nieszczęśliwy pcha nas ku Małpim Góróm. A jeszcze nikt, kto tam się znalazł, nie uszedł cało z tego miejsca i serce moje mówi mi, że wszyscy poginiemy!”

I zaledwie kapitan skończył mówić te słowa, nadbiegły małpy, otoczyły nasz statek i niczym szarańcza zaroily się na całym pokładzie i na brzegu przy statku. My zaś baliśmy się zabić, uderzyć czy choćby odpędzić którąś z nich, gdyż było ich tak dużo, bowiem wielka liczba przewyższała męstwo. I ze strachu patrzyliśmy biernie, gdy one rabowały nasz dobytek i towary. Są to najszkaradniejsze zwierzęta; sierść ich przypomina czarną pilśń, a widok budzi grozę. Nikt też ich mowy nie jest w stanie zrozumieć i nic o nich nie wiadomo poza tym, że nienawidzą ludzi, mają żółte oczy, czarne gęby i niską postać, a wzrost każdej z nich nie przekracza czterech piędzi. Wlazły owe małpy na liny kotwicy, przegryzły je swymi zębami i poprzecinały również wszystkie inne okrętowe liny. Wtedy statek nasz poddał się wiatrowi, skierował się w stronę Małpich Gór i przybił do ich brzegu. Małpy rzuciły się wtedy na kupców i podróżnych i powynosiły ich wszystkich na brzeg, statek zaś ze wszystkim, co na nim było, porwały i oddaliły się swoją drogą, nas porzuciwszy na wyspie.

Statek zniknął nam sprzed oczu, a my nawet nie wiedzieliśmy, dokąd go małpy porwały. Znalazłszy na owej wyspie drzewa owocowe, zioła i jagody, pożywiliśmy się nimi, ugasiliśmy pragnienie wodą ze strumieni, które się tam znajdowały, a potem zauważyliśmy w głębi wyspy jakieś domostwo. Skierowaliśmy się ku niemu, a gdy już byliśmy blisko, zobaczyliśmy, że było to zamczysko o wyniosłych kolumnach i wysokich murach, mające dwuskrzydłową bramę z hebanowego drzewa, a brama ta była otwarta. Weszliśmy więc przez tę bramę i zobaczyliśmy rozległy dziedziniec, podobny do wielkiego placu, a wokół były liczne wysokie drzewa. Naprzeciw wejścia stała szeroka ława, ponadto wisiały nad paleniskami naczynia kuchenne,

a wokół wałało się dużo kości. Żywej duszy w owym miejscu nie znaleźliśmy, przeto zdumieliliśmy się wielkim zdumieniem, ale usiedliśmy na dziedzińcu, by chwilę odpocząć. A potem sen nas zmorzył i spaliśmy bez przerwy od południa aż do zachodu słońca. Nagle ziemia się pod nami zatrzęsała i rozległ się w powietrzu wielki hałas. Równocześnie zeszła ku nam z zamkowej wieży jakaś postać ogromna, z kształtu podobna do człowieka, ale czarna i wysoka jak olbrzymia palma. Oczy miała jak dwie pochodnie, kły niczym u dzika, głowę ogromną jak studnia, wargi na podobieństwo warg wielbłąda i zwisające na piersi, uszy na kształt dwu płacht, opadające na ramiona, a paznokcie u rąk tej postaci przypominały lwie pazury. Gdyśmy ujrzeli tego potwora, potraciliśmy zmysły, strach nas ogarnął potężny i zamarliśmy z okropnego przerażenia, lęku i obawy. Tymczasem stwór zszedł na ziemię, na chwilę przysiadł na ławie, a potem wstał i podszedł do nas. Chwycił mnie i wyciągnął spomiędzy mych towarzyszy kupców, a podniósłszy mnie w górę, obmacywał mnie i obracał, a ja byłem na jego dłoni niczym mały kasek. Macał mnie zupełnie tak, jak rzeźnik maca owcę przeznaczoną do zarżnięcia, ale stwierdził, że jestem wątły i wychudzony od wielu utrapień i trudów podróży. Nie znalazł na mnie ani trochę ciała, więc mnie z ręki wypuścił, wybrał innego spośród mych towarzyszy, obracał i obmacywał go tak jak mnie poprzednio, a potem i jego wypuścił. Tak macał i obracał jednego po drugim, aż doszedł do kapitana okrętu. Był to człowiek tłusty, tęgi, barczysty, silny i krzepki i zadowolił potwora. Ów ujął tedy kapitana niczym rzeźnik przystępujący do zarżnięcia bydłęcia, rzucił go na ziemię i postawiwszy nogę na jego karku, zmiażdżył mu go. Potem przyniósł długi rożen i wbił nań kapitana, aż koniec rożna wyszedł mu przez tyłek. I rozniecił wielkie ognisko, nad nim umieścił rożen z nabitym nań kapitanem i nie przestawał go obracać nad płonącymi węglami, aż mięso dobrze się upiekło. Wtedy zdjął rożen z żaru i umieściwszy go przed sobą, dzielił mięso tak, jak człowiek dzieli kurczę, i rozszarpywał tę pieczeń pazurami, i pożerał, aż zjadł całe mięso i kości poobgryzał. I nie zostało z kapitana nic prócz tych kości, które potwór cisnął gdzieś pod mur.

Później potwór posiedział jeszcze trochę na ławie, a następnie wyciągnął się na niej i zasnął, a chrapanie, które począł z siebie wydawać, podobne było do charczenia zarznanego barana albo jakiegoś innego zwierzęcia. Spał tak bez przerwy do rana, a potem wstał i odszedł swoją drogą. My zaś upewniwszy się, że odszedł daleko, poczęliśmy rozmawiać, oplakiwaliśmy nasz los i mówiliśmy pomiędzy sobą: „Ach, czemuż nie utonęliśmy w morzu albo nie zginęliśmy z rąk małp? Byłoby to stokroć lepsze od pieczenia na rozżarzonych węglach! Na Allacha, tego rodzaju śmierć jest straszna,

ale wszystko dzieje się tak, jak Allach zrządzi, nie ma bowiem potęgi ni siły poza Allachem Wielkim i Mocnym! Na pewno pomrzemy tu w rozpacz i nikt się o nas nie dowie! Nie ma dla nas ocalenia ani ucieczki z tego miejsca!” Potem wstaliśmy i poczęliśmy chodzić i rozglądać się po wyspie, poszukując jakiegoś miejsca, gdzie można by się było schować lub którędy można byłoby uciec. Każda śmierć wydawała nam się lepsza od pieczenia w ogniu, cóż, kiedy nie mogliśmy znaleźć żadnej kryjówki. Wieczór zapadł i w wielkim strachu musieliśmy wracać do zamczyska. Usiedliśmy tam i oto znów ziemia pod nami zadrżała, pojawił się ów czarny potwór, podszedł do nas, jednego za drugim obmacywał tak, jak za pierwszym razem, i badał nas, aż wreszcie wybrał z nas jednego i postąpił z nim tak, jak pierwszego dnia postąpił z kapitanem. Upiekł go i pożarł, a potem spał na ławie całą noc, chrapiąc jak zarzynane zwierzę. A gdy dzień nastał, podniósł się i poszedł swoją drogą, nas pozostawiając według swego obyczaju.

Zbiliśmy się wówczas w gromadę, naradzaliśmy się i mówiliśmy jeden przez drugiego: „Na Allacha, lepiej byłoby rzucić się w morze i utonąć niż czekać na upieczenie, gdyż, zaiste, ten rodzaj śmierci jest potworny!” Jeden z nas rzekł: „Posłuchajcie mnie, użyjmy jakiegoś podstępu i zabijmy tego potwora! Uwolnimy siebie w ten sposób od jego prześladowań i innych muzułmanów wybawimy od jego zła i nieprawości.” Wtedy ja powiedziałem: „Słuchajcie, o bracia moi, skoro nie ma innego ratunku i musimy go zglądzić, weźmy stąd najpierw nieco desek i drzewa, zgromadzimy to na brzegu i zbudujemy tratwę obszerną na podobieństwo statku. Gdy potem uda się nasz podstęp i usmiercimy potwora, wsiądziemy na ten statek i odpłyniemy stąd po morzu dokądkolwiek, gdzie tylko nas Allach poprowadzi. Albo też będziemy siedzieli tutaj, aż nas jakiś przepływający tędy statek zabierze. A gdybyśmy nawet nie dali rady zabić potwora, to i tak na naszą łódź wsiądziemy i umkniemy morzem. Jeśli utoniemy, to przynajmniej w ten sposób uwolnimy się od mąk skręcenia karku i smażenia na ogniu. Jeśli pisane nam jest ocalenie, czeka nas ratunek, a jeśli utoniemy, to zginiemy śmiercią męczenników.” Wszyscy na to zawołali: „Na Allacha, mądra to rada i słuszna!”

I tak zgodni w swych postanowieniach, przystąpiliśmy zaraz do roboty. Wynieśliśmy z zamku drzewo i sporządziliśmy z niego statek, związaliśmy go przy brzegu morza, złożyliśmy w nim nieco żywności i powróciliśmy na zamek. Gdy zapadł wieczór, ziemia zadrżała i nadszedł ów czarny potwór, a był kłusujący niczym pies. Poobracał i poobmacywał każdego z nas, a potem wybrał jednego i postąpił z nim tak jak z jego poprzednikami, potem go pożarł i zasnął na ławie, wydając z siebie chrapanie podobne do grzmotów. Wtedy podnieśliś-

my się szybko, ujęliśmy dwa żelazne rożna spośród tych, które były pozawieszane w tym miejscu, i wsadziliśmy je w potężny ogień, aż rozżarzyły się do czerwoności i stały się niczym węgle płonące. Potem ujęliśmy je mocnym uchwytem, podeszliśmy z nimi do czarnucha, który spał chrapiąc na ławie i wetknęliśmy mu rożny w oczodoły, zanim zdołał się obudzić. Wszyscy razem naciskaliśmy z całych sił i mocy, aż wypaliliśmy mu oczy, a on, pozbawiony wzroku, ryknął potężnie, serca nasze grozą napęlniając. Potem zerwał się z ławy i począł nas szukać, ale my rozbiegliśmy się, uciekając przed nim na lewo i na prawo.

Slepy olbrzym nie mógł nas znaleźć, ale my i tak baliśmy się go strasznie i przekonani o nieuchronnej zgubie, zwątpiliśmy w możliwość ocalenia. On zaś skierował się ku bramie i wrzeszcząc, wyszedł z niej po omacku. Nas przejmował potworny strach, ziemia drżała pod nami od siły jego głosu i śledziliśmy, jak olbrzym, nie przestając nas tropić, odchodził swoją zwykłą drogą. Niedługo potem wrócił jednak, a z nim przybyła samica, jeszcze większa niż on i o jeszcze dzikszym wyglądzie. Przeraziliśmy się strasznym przerażeniem zobaczywszy ich oboje, gdyż samica, którą olbrzym przywiódł z sobą, była daleko potworniejsza niż on. Dojrzała nas ona właśnie w chwili, gdy my pośpiesznie odczepiliśmy naszą łódź i wskoczywszy do niej, zepchnęliśmy ją na wodę. Lecz olbrzymi miały ze sobą ogromne kamienie, którymi poczęły w nas rzucać, i pod ich uderzeniami większość z nas zginęła. Zostało nas tylko trzech, mianowicie ja i jeszcze dwu innych, i dopłynęliśmy w łodzi na inną wyspę. Krążyliśmy po niej aż do schyłku dnia, a gdy noc nas zaskoczyła, ułożyliśmy się do snu. Gdyśmy się przebudzili, zobaczyliśmy, że ogromny i niezmiernie długi wąż o wielkim cielsku i przepastnym brzuchu leży, otaczając nas pierścieniem. W tej samej chwili wąż ów podpełzł ku jednemu z mych towarzyszy i połknął go aż do ramion, a zaraz potem połknął go do reszty. Posłyszeliśmy tylko trzask żeber w brzuchu węża, po czym oddalił się on swoją drogą. Zdumieliśmy się wielkim zdumieniem i uzaliliśmy się nad naszym nieszczęsnym towarzyszem, lecz zarazem ogarnął nas przemożny strach o własną skórę. Zawołaliśmy: „Na Allacha, co za dziwy! Każda nowa śmierć, której jesteśmy świadkami w czasie tej naszej podróży, wstrętniejsza jest od poprzedniej. Radowaliśmy się ocaleniem z rąk czarnego olbrzyma i tym, że uniknęliśmy śmierci w odmętach, a oto okazało się, że radość nasza była przedwczesna. Nie ma potęgi ni siły poza Allahem Wielkim i Mocnym! Allah nas wybawił z rąk czarnego olbrzyma i ocalił od zatonięcia, lecz czyż istnieje możliwość ucieczki przed tą nową złowróżbną plagą?” To rzekłszy wstaliśmy i chodziliśmy dalej po wyspie, pożywialiśmy się owocami i popijaliśmy wodę ze strumieni,



i tak było aż do wieczora. Wtedy wyszukaliśmy wielkie, wysokie drzewo, wspięliśmy się na nie – ja wdrapałem się na najwyższą gałąź – i zasnęliśmy.

Gdy nastąpiła noc i ciemność zapadła, pojawił się wąż, pełzał to w prawo, to w lewo, a potem ruszył ku drzewu, na którym spaliśmy. Wąż wspiął się do mojego towarzysza i połknął go po ramiona, tak się z nim razem wokół pnia drzewa owinął. Zanim połknął całego mego towarzysza, słyszałem gruchotanie kości w brzuchu węża i musiałem na to patrzeć. Potem wąż zsunął się z drzewa i odszedł swoją zwykłą drogą. Ja zaś resztę nocy spędziłem na tym drzewie, a gdy nastał dzień i zaświeciło słońce, zląłem z drzewa, śmierci bliski od wielkiego strachu i przerażenia. Chciałem wskoczyć do morza, aby odetchnąć od cierpienia tego świata, ale duch się we mnie jakoś jeszcze trzymał, bowiem życie moc ma wielką.

Wówczas wziąłem szeroką deskę, przymocowałem ją sobie pod stopami, inną deskę przywiązałem sobie do prawego boku i taką samą do boku lewego i jeszcze inną na brzuch, a wreszcie długą i szeroką deskę przytroczyłem w poprzek nad głową, tak samo jak pod stopami. Tak oto znalazłem się w środku tych desek otaczających mnie ze wszystkich stron. Przywiązałem je bardzo mocno i z tym wszystkim rzuciłem się na ziemię, po czym zaraz zasnąłem pomiędzy tymi deskami, tworzącymi wokół mnie coś na kształt komórki. Gdy zapadła noc, pojawił się zgodnie ze swoim obyczajem wąż. Zobaczył mnie i zbliżył się, ale nie mógł mnie połknąć, gdyż schowany byłem wśród desek zewsząd mnie osłaniających. I krążył wokół mnie ów wąż, ale nie mógł się do mnie dobrać, a ja patrzyłem nań zmartwiałym ze strachu i przerażenia, wąż zaś nieustannie to się oddalał, to przybliżał do mnie, ale za każdym razem, gdy mnie próbował połknąć, udaremniały mu to deski, które miałem przytroczone ze wszystkich stron. Trwało to od zachodu słońca aż do białego rana, gdy wzeszło słońce i zaświeciło swym światłem. Wtedy wąż, dławiąc się bezsilną wściekłością, odszedł swoją drogą, a ja wyciągnąłem rękę i wyswobodziłem się spod drewna, martwy prawie wskutek tego, co przez tego węża przeżył. Dźwignąłem się jednak i począłem iść przez wyspę, i tak dotarłem do brzegu. Popatrzyłem wówczas na morze i dostrzegłem oto w oddali, na pełnym morzu, statek. Chwyciłem wielką gałąź i począłem nią wymachiwać, krzycząc zarazem. Gdy mnie ujrzeli podróżni, rzekli: „Trzeba zobaczyć, co to takiego, może jest to człowiek.” Podpłynęli bliżej, a kiedy usłyszeli moje wołanie, przybili do brzegu i zabrali mnie na swój statek. I wypytywali mnie o moje przygody, więc opowiadałem im od początku do końca, co mi się przydarzyło i co od przeciwnostw losu wycierpiałem. Zdziwili się wielce, a potem darowali mi trochę swoich

szat, abym swą nagość zakrył, dali mi też ze swych zapasów coś do jedzenia, więc zjadłem do syta, a na koniec napoili mnie zimną, słodką wodą. I odżył we mnie duch, serce się uspokoiło i doznałem wielkiego ukojenia, że Allach wybawił mnie od pewnej śmierci i z powrotem umieścił wśród żywych. Sławiłem przeto Allacha Najwyższego za obfitość Jego łask i składałem Mu dzięki. Niebawem odzyskałem siły i tak po chwilach, gdy już we wszystko zwątpiłem, nadeszły inne, kiedy to, co przeszedłem, wydało mi się tylko jakimś snem. Wiatr za przyzwoleniem Allacha był nam przychylny, płynęliśmy więc bez ustanku, aż przybiliśmy do brzegu pewnej wyspy, zwanej wyspą as-Salahita, i przy niej nasz kapitan zatrzymał statek. Wszyscy kupcy i podróżni zeszli wówczas na ląd i wynieśli swe towary, aby je sprzedać i wymienić. I mówił Sindbad Żeglarz: Kapitan statku zwrócił się do mnie i rzekł: „Posłuchaj, co ci powiem. Jesteś obcym, ubogim człowiekiem i opowiedziałeś nam o różnych niebezpieczeństwach, przez które przeszedłeś. Chciałbym cię przeto jakoś poratować i pomóc ci, abyś mógł wrócić do swego kraju, a ty będziesz się za to modlił za mnie.” Odpowiedziałem: „Dobrze, odtąd zawsze się będę za ciebie modlił.” On zaś mówił dalej: „Wiedz, że był wśród nas pewien podróżny, który nam zginął. Nie wiemy, czy jeszcze żyje, czy umarł, bo żadna wieść o nim do nas nie dotarła. Chcę więc tobie przekazać jego towary, abyś je sprzedał na tej wyspie i byś zajął się sprawami tamtego. Za twój trud i pracę wynagrodzimy cię, oddając ci część zysku, a co zostanie ze sprzedaży tych towarów, zatrzymamy u nas aż do naszego powrotu do Bagdadu. Tam odszukamy rodzinę zaginionego i jej przekazemy pozostałe towary jak również wszystek dochód z tego, co zostanie sprzedane. Czy zgodzisz się na to i zejdziesz na wyspę z tymi towarami, aby handlować nimi tak, jak to czynią kupcy?” Odrzekłem: „Słyszę i jestem posłuszny, o panie dobry i wspaniałomyślny”, błogosławiłem mu i dziękowałem. Potem kapitan rozkazał tragarzom i wioślarzom, aby wspomniane towary wynieśli na ląd i przekazali je mnie. A pisarz portowy spytał: „Kapitanie, co to za towary wnoszą majtkowie i tragarze na brzeg i którego kupca imieniem mam je oznaczyć?” Kapitan odpowiedział: „Wypisz na nich imię Sindbada Żeglarza. Podróżował przedtem z nami, lecz utonął przy jednej z wysp. Od tego czasu nie mieliśmy o nim żadnej wieści i chcemy, aby ten cudzoziemiec sprzedał towary Sindbada Żeglarza i wziął za nie zapłatę. Damy mu za to tyle, ile wart będzie jego trud przy dokonywaniu sprzedaży, a co zostanie, weźmiemy ze sobą, by po powrocie do miasta Bagdadu oddać towary właścicielowi, o ile uda nam się go odnaleźć. Jeśli zaś nie będziemy w stanie go odszukać, przekazemy wszystko jego rodzinie w Bagdadzie.” Pisarz powiedział: „Piękne są twoje słowa i sprawiedliwa mowa.”

Gdy usłyszałem, co mówił kapitan i jak oznajmił, że towary mają być moim imieniem znaczone, rzekłem sobie w duszy: „Na Allacha, wszakże to ja jestem Sindbadem Żeglarzem i ja wpadłem do wody przy owej wyspie wraz z innymi podróżnymi, z których część poszła na dno.” Uzbroiłem się jednak w cierpliwość i odczekałem, aż kupcy zeszli ze statku i w gromadzie zaczęli rozprawiać o sprawach kupna i sprzedaży. Wtedy podszedłem do kapitana statku i zapytałem go: „Panie mój, czy wiesz, kim był właściciel towarów, które dałeś mi do sprzedania?” Kapitan odparł: „Nie znam jego stanu, ale wiem, że pochodził z Bagdadu i że zwano go Sindbadem Żeglarzem. Gdyśmy przy pewnej wyspie kotwicę zarzucili, wielu ludzi tam utonęło, a w ich liczbie był on, i od tego czasu nie mieliśmy o nim żadnej wiadomości.”

Wtedy krzyknąłem wielkim głosem: „Kapitanie, niechaj pokój z tobą będzie! Wiedz, że ja jestem Sindbadem Żeglarzem i wcale nie utonąłem. Wtedy, gdy przy brzegu wyspy zarzuciłeś kotwicę, a kupcy i podróżni zeszli na ląd, ja wysiadłem wraz z nimi. Znalazłszy się zaś na brzegu wyspy, wyjąłem jedzenie, które z sobą miałem, i przyjemnie płynął mi tam czas, ale potem ogarnęła mnie senność, ułożyłem się więc i zasnąłem. Gdym się przebudził, nie było już przy brzegu statku i nikogo przy sobie nie znalazłem. Tak więc towary te, jak i cały ów dobytek należą do mnie. Wszyscy kupcy dostarczający diamentów widzieli mnie w Diamentowych Górach i poświadczą, że jestem Sindbadem Żeglarzem. Opowiedziałem im bowiem swoją historię i wspomniałem o tym, co mi się zdarzyło, gdy byłem z wami na statku. Opowiedziałem im, jak to zapomnieliście mnie śpiącego na wyspie i że gdy się potem przebudziłem, nie znalazłem już nikogo z podróżnych i przygodziło mi się to, co mi się przygodziło.”

Kupcy i inni współtowarzysze podróży słysząc moje słowa zgromadzili się przy mnie, a byli wśród nich tacy, co mi uwierzyli, i tacy, co wzięli mnie za kłamcę. I gdyśmy tak rozmawiali, jeden z kupców posłyszawszy, że wspomniałem o Diamentowej Dolinie, wstał, podszedł do mnie i powiedział: „Zgromadzeni, posłuchajcie, co powiem. Kiedyś wspominałem wam o różnych dziwach, które oglądałem w swoich podróżach. Między innymi opisywałem, jak rzucaliśmy zabite zwierzęta do Diamentowej Doliny i o tym, że gdy zgodnie ze zwyczajem postąpiłem jak inni kupcy i zrzuciłem tam swoje zwierzę, uczeplił się doń pewien człowiek i tak przybył do mnie na górę. Nie wierzyliście mi wtedy i pomawialiście mnie o kłamstwo.” Rzekli: „Tak, to prawda, opowiadałeś nam o tym, a my nie daliśmy wiary twym słowom.” Kupiec ciągnął: „Oto jest właśnie ten, który uczeplił się mojego zabitego zwierzęcia. Dał mi on potem cenne diamenty, a równe im trudno byłoby znaleźć. On zaś dał mi ich więcej, niżbym

mógł zebrać z mego zabitego zwierzęcia. I zabrałem z sobą tego człowieka, a gdy przybyliśmy do miasta Basry, pożegnaliśmy się, po czym on ruszył do swojego kraju, a my do swego. To właśnie jest ów człowiek i rzeczywiście nazywa się on Sindbad Żeglarz, jak nam mówił. Opowiedział on i nam o tym, że statek odpłynął bez niego, i o tym, jak pozostał sam na wyspie. I wiedzcie, że człowiek ten przyszedł tu do nas po to, byście nareszcie uwierzyli słowom, które wam niegdyś powiedziałem. Wszystkie te towary są jego własnością bo i o tym nam wspomniął, gdy do nas się przyłączył. Tym samym i jego słowa okazują się prawdziwe.”

Gdy kapitan wysłuchał słów kupca, podszedł do mnie i chwilę uważnie mi się przypatrywał, a potem spytał: „Jak są oznaczone twoje towary?” Odpowiedziałem: „Wiedz, że znak na mych towarach jest taki a taki.” Potem przypomniałem mu jeszcze o pewnych sprawach, które zaszły tylko między nami dwoma, gdy na jego statku wypływaliśmy z Basry. Wtedy kapitan upewnił się, że rzeczywiście jestem Sindbadem Żeglarzem, objął mnie, pozdrowił i cieszył się z mego ocalenia mówiąc: „Na Allacha, zaiste, twoja opowieść jest zdumiewająca, a przypadki twe są cudowne. I niech Allahowi będą dzięki za to, że dał nam się spotkać, a tobie zwrócił twe towary i dobytek.” Sindbad mówił: Tak tedy rozporządziłem swymi towarami, jak umiałem, a one przyniosły mi w tej podróży duży zysk. Radowałem się z tego wielką radością, ciesząc się bezpieczeństwem i tym, że odzyskałem mój majątek. I wciąż sprzedawałem i kupowałem po drodze na wyspach, a gdy przybyliśmy do kraju Sind, i tam również trudniłem się kupnem i sprzedażą. I widzieliśmy na morzu rozmaite dziwy i cudowności, których ani zliczyć, ani wyliczyć się nie da. Wśród wielu innych rzeczy, które na tym morzu oglądałem, była ryba z kształtu podobna do krowy i inne mające postać osła. Widziałem też ptaki, które wylażą z morskich muszli, znoszą jaja i pisklęta wysiadują na powierzchni wody. A ptaki te nie wychodzą nigdy z morza na ląd. I tak podróżowaliśmy bez ustanku za Allacha Najwyższego przyzwoleniem, wiatr nam sprzyjał i podróż była pomyślna, i tak przybyliśmy do Basry. Zabawiłem tam niewiele dni, po czym ruszyłem do Bagdadu, a gdy przybyłem do mojej dzielnicy, wszedłem do swego domu, powitałem rodzinę, towarzyszy i przyjaciół. I cieszyłem się, że znów jestem bezpieczny i że wróciłem do swego kraju, do rodziny, swojego miasta i domów. Rozdawałem jałmużnę, obdarowywałem i odziewałem wdowy i sieroty, a sam spędzałem czas w otoczeniu towarzyszy biesiad i przyjaciół, żyłem w nieustannym zbytku jedząc, pijąc i weseląc się. Uczując, zabawiając się i przebywając z towarzyszami, zapomniiałem wkrótce, co mi się przytrafiło, co od przeciwnostw losu wycierpiałem i jakich zaznałem

niebezpieczeństw. Zysków moich zaś z tej wyprawy ani zliczyć, ani wyliczyć by się nie dało. Takie to były osobliwe przygody, które miałem w tej podróży. A jutro, jeśli Allah Najwyższy zechce, przyjdiesz do mnie znowu, ja zaś opowiem ci o mojej czwartej podróży, jeszcze cudowniejszej od poprzednich.

Potem Sindbad Żeglarz kazał dać, zgodnie ze swoim obyczajem, sto miskali złota Sindbadowi Tragarzowi i polecił, aby obrusy rozpostarto. A gdy to się stało, towarzystwo poczęło wieczerzać, dziwując się zasłyszanej opowieści i wszystkiemu temu, co się w niej wydarzyło. Po wieczerzy wszyscy odeszli w swoje strony, a Sindbad Tragarz zabrał darowane mu złoto i także odszedł swoją drogą, oszołomiony tym, co Sindbad Żeglarz opowiedział. Noc spędził w swoim domostwie, a gdy nastał ranek i zajaśniał świt, podniósł się Sindbad Tragarz, odprawił poranne modły i udał się do Sindbada Żeglarza. Wszedł, pozdrowił gospodarza, a ów przyjął go radośnie i przyjaźnie, kazał mu koło siebie siadać i gawędził z nim do czasu, gdy reszta towarzyszy się zjawiała. Wtedy podano jadło, a zebrani pożywili się i popili w wesołym nastroju, po czym Sindbad Żeglarz czwarte opowiadanie rozpoczął:

Czwarte opowiadanie Sindbada Żeglarza dotyczące podróży czwartej

Wiedźcie, o bracia moi, że powróciwszy do miasta Bagdadu, znów zgromadziłem wokół siebie mych towarzyszy, rodzinę i przyjaciół i żyłem pośród największych rozkoszy, w zadowoleniu i dostatku. Otoczony nieprzeliczonym zbytkiem, zapomniałem wkrótce o tym, co było, i oddany rozrywkom, weselu i towarzyskim biesiadom, czerpałem z życia wszystko, co najprzyjemniejsze. Cóż, kiedy moja podstępna dusza szeptała mi o podróżach w kraje nieznanych ludów, tak że znów zapragnąłem zobaczyć innych ludzi i zająć się handlem i zarabianiem. Opanowany tą myślą, nakupiłem różnych cennych towarów nadających się do morskiego handlu, spakowałem jeszcze więcej niż zwykle tobołów i z Bagdadu udałem się do Basry. Tam załadowałem swe rzeczy na statek i przyłączyłem się do grupy najzamożniejszych kupców Basry. Ruszyliśmy w drogę, statek odbił z nami od brzegu, a Allah Najwyższy błogosławił nam płynącym po wzburzonym morzu, wśród fal jedna o drugą bijących.

Wiele dni i nocy płynęliśmy szczęśliwie z wyspy na wyspę i z morza na morze, aż pewnego dnia zerwał się przeciwny wiatr. Kapitan zarzucił kotwicę i zatrzymał statek pośrodku morza, bojąc się, by w rozszalałym żywiole nie zatonął. My poczęliśmy się modlić i pokor-

nie błagaliśmy Allacha Najwyższego, a gdy to czyniliśmy, zniecka uderzył w nas potężny huragan, poszarpał żagle, podarł je na strzępy i zmiotł z pokładu wszystkich ludzi wraz z ich dobytkiem i tym, co mieli spośród towarów i majątku. Tak więc i ja wpadłem do wody razem z innymi. Przez pół dnia zdołałem się utrzymać na powierzchni morza, a kiedy zaczynałem już tracić przytomność, Allah Najwyższy zesał mi jedną spośród desek okrętowych. I wlałem na nią, a za mną w ślad uczyniło to jeszcze kilku kupców. Skupiliśmy się na niej i mocno się trzymając, uderzaliśmy nogami jak wiosłami o wodę. Takim to sposobem płynęliśmy, fale i wiatr nam sprzyjały i tak minęły dzień i noc. Następnego dnia przed południem wiatr przybrał na sile, morze się spieniło, fale urosły i woda wyniosła nas na jakąś wyspę. Byliśmy prawie martwi od bezsenności, zmęczenia, zimna, głodu, strachu i pragnienia. Chodząc po brzegu wyspy znaleźliśmy tam dużo roślin, więc jedliśmy je, aby się utrzymać przy życiu i wzmocnić swoje siły.

Noc tę spędziliśmy na brzegu wyspy, a gdy zaczęło świtać i nastał jasny ranek, wstaliśmy i poczęliśmy chodzić po wyspie w prawo i w lewo. I ukazała się nam w oddali jakaś budowla, ruszyliśmy więc ku niej i szliśmy tak długo, aż znaleźliśmy się u jej wrót. Zaledwieśmy tam stanęli, z bramy wypadła do nas gromada nagusów, którzy bez słowa nas pochwycili i zawiedli do swego króla. Ów zaś kazał nam usiąść, więc usiedliśmy, a wtedy podano nam jakiś pokarm nieznan, jakiego nie widzieliśmy jeszcze nigdy w życiu. Dusza moja wzdragała się przed nim i nie zjadłem go ani trochę w przeciwieństwie do moich towarzyszy. Łaska Allacha to sprawiła, że tego pożywienia nie tknął, i dzięki temu żyję po dziś dzień. A zaledwie moi towarzysze skosztowali tylko trochę podanej potrawy, potracili rozum i poczęli jeść jak obłąkani. Potem przyniesiono im kokosowy olej, podano im go do picia i natłuszczono ich nim, a wtedy oczy im się powywracały i znów poczęli zajadać tę potrawę, całkiem inaczej, niż było ich zwyczajem. Zaniepokoiłem się o nich, smutek mnie ogarnął i wielki lęk o własną skórę wśród tych nagich ludzi. Przyjrzałem im się przeto bliżej – byli to czciciele ognia, a królem w ich mieście był jakiś ghuł. Ktokolwiek do ich kraju przybywał albo kogo w dolinie zobaczyli lub spotkali, tego do swego króla prowadzili. Wszystkich też karmili tym pożywieniem, natłuszczali każdego owym olejem, a wtedy brzuch mu od obfitości jadała pęczniał, rozum mu się mącił i rozsądek go opuszczał. A gdy taki człowiek do szczętu ogłupiał, dawali mu jeszcze więcej jedzenia i picia, on zaś stawał się tłusty i otyły. Wówczas zarzynali go, piekli i dawali swojemu królowi do jedzenia. Poddani tego króla również żywili się ludzkim mięsem, tylko go nie piekli ani nie gotowali.

Gdym te ich obyczaje podpatrzył, zaniepokoiłem się bardzo o siebie i moich towarzyszy, oni zaś z nadmiaru strawy, co rozum odbiera, całkiem nie wiedzieli, co się z nimi dzieje. I powierzono ich jakiemuś człowiekowi, który co dzień zabierał ich i wyprowadzał pasać jak bydło. Tymczasem ja ze strachu, i głodu osłabłem i stałem się taki chudy, że ciało ledwie okrywało mi kości. Gdy mnie takiego ujrzeni, zostawili mnie w spokoju i zapomnieli o mnie i żaden z nich już o mej osobie nie myślał ani też o nią nie dbał. Tak więc pewnego dnia wymknąłem się chyłkiem z tego miejsca i uciekłem, a gdym już był w pewnym oddaleniu, dostrzegłem jakiegoś pasterza, siedzącego na czymś wystającym z morza. Gdy mu się dokładnie przyjrzałem, poznałem go. Był to ten sam człowiek, któremu kazano wypasać moich towarzyszy i wielu jeszcze takich jak oni. Skoro i on mnie dojrzał, pojął natychmiast, że jestem przy zdrowych zmysłach, a nie opętany jak moi współtowarzysze podróży. Skinął na mnie z daleka i rzekł: „Zawróć i idź dalej drogą, która biegnie po twojej prawej ręce, a trafisz wówczas na trakt sultański.” Obróciłem się więc, tak jak mi ten człowiek kazał, i rzeczywiście po prawej stronie zobaczyłem drogę i poszedłem nią.

Szedłem bez przerwy, czasem ze strachu biegłem, to znów zwalniałem kroku, aby trochę odpocząć. Tak postępowałem, aż straciłem z oczu pasterza, który mi tę drogę wskazał. Potem już go więcej nie widziałem ani on mnie już nigdy w życiu nie oglądał. Słońce wreszcie zaszło nade mną i ciemność nastąpiła, usiadłem tedy, aby wytchnąć i przespać się trochę. Ale sen mnie tej nocy nie chciał ogarnąć, tak byłem przejęty strachem, głodny i zmęczony. O północy wstałem i poszedłem dalej w głąb wyspy i nie ustawałem w drodze, aż dzień począł wstawać, zajaśniał świt i słońce weszło nad szczytami gór i równinami. Strudzony głodny i spragniony, począłem zbierać zioła i inne rośliny rosnące na wyspie i jadłem je, aż nasyciłem się i zaspokoilem głód. Potem znów wstałem i poszedłem przez wyspę, i nie ustawałem w drodze przez cały dzień i noc. Gdy byłem głodny, żywiłem się roślinami, i tak przemierzałem tę wyspę, przez siedem dni i siedem nocy. Ósmego dnia rano ukazał mi się z daleka jakiś kształt. Skierowałem się ku niemu i podążałem doń bez ustanku, aż dopiero po zachodzie słońca się do niego zbliżyłem. A przez cały czas, gdy jeszcze byłem daleko, przypatrywałem się mu, a wielki lęk przepętniał moje serce po tym wszystkim, co mi się już raz i drugi przytrafiło. Okazało się, że to, co widziałem z daleka, było gromadą ludzi zbierających ziarna pieprzu. Gdy do nich podszedłem, a oni zauważyli mnie, zbliżyli się i otoczyli mnie ze wszystkich stron, pytając: „Kim jesteś i skąd przybywasz?” Odpowiedziałem: „Wiedziecie, o ludzie, że jestem biednym cudzoziemcem.” I dalej opowiedzia-



lem im o swoich przygodach, o tym, jakich niebezpieczeństw doznałem i co wskutek przeciwności losu przecierpiałem. Oni wykrzyknęli wówczas: „Na Allacha, przedziwna to sprawa, że z rąk czarnych potrafiłeś się uratować i wydostałeś się z ich kraju, który leży na tej wyspie. Jest to zaiste liczne plemię ludożerców i prawie nikt im ująć ani ich ominąć nie może.” Więc opowiedziałem im o tym, co przeżyłem wśród ludożerców, jak porwali oni moich towarzyszy i nakarmili ich pożywieniem, którego ja nie tknąłem. Ludzie zbierający pieprz wieszowali mi ocalenia i dziwowali się wielce temu, co mi się przytrafiło. Potem prosili, bym został z nimi, więc siedziałem przy nich, dopóki nie zakończyli swojej pracy. Wtedy podali mi dobre jedło, a ja zjadłem, bo bardzo byłem wygłodniały. Potem odpoczywałem jeszcze przez czas jakiś, aż wreszcie oni mnie z sobą zabrali, wsiedli wraz ze mną na statek i popłynęli na swoją wyspę, gdzie byli ich osiedla. A tam przedstawili mnie swemu królowi. Pozdrowiłem króla i on mnie powitał, i łaskawie przyjął, wypytując o moje sprawy. Opowiedziałem mu o sobie wszystko, o tym, co mi się przytrafiło i co zaszło od chwili, gdy opuściłem miasto Bagdad, aż do pojawienia się przed nim.

Król zdziwił się wielce wysłuchawszy opowiadania o moich przygodach i zdumieni się również wszyscy przy tym obecni. Później król kazał mi usiąść przy sobie, a gdy to uczyniłem, polecił, aby przyniesiono jedło, podano je więc, a ja najadłem się do syta. Potem umyłem dłonie i Allahowi Najwyższemu za jego dobroć podziękowałem, sławiąc Go i głosząc Jego chwałę. Wreszcie wstałem i wyszedłem od króla, aby przejść się i miasto pooglądać. Był to ludny gród, w którym żyło wielu mieszkańców, był bogaty, dobrze w żywność zaopatrzony i posiadał sporą liczbę bazarów z wielką ilością towarów, jak też ludzi kupujących i sprzedających. I radowałem się, że przybyłem do tego miasta, odzyskałem tam spokój i do tamtejszych ludzi przywykłem, a oni i ich król szanowali mnie i poważali nawet więcej niż własnych wielmożów.

Zauważyłem wkrótce, że wszyscy mieszkańcy miasta, wielcy i mali, dosiadają pięknych i szlachetnych rumaków, ale bez siodła. Zdziwiony tym, zagadnąłem kiedyś króla: „Czemuż to, panie mój, nie używasz siodła? Jest to rzecz bardzo wygodna i jeździec dużo pewniej się w nim czuje.” Król na to powiedział: „Cóż to jest siodło? Nie widzieliśmy nigdy w życiu takiego przedmiotu i nie próbowaliśmy na nim jeździć.” Wtedy spytałem: „Czy pozwolisz zrobić sobie siodło, abyś mógł jeździć na nim i poznać, jaka to przyjemność?” Król odparł: „Zrób je.” Wtedy rzekłem: „Każ dostarczyć mi trochę drzewa.” I polecił król dać mi wszystko, czego zechcę, więc zażądałem, by mi zręcznego stolarza przyprowadzono, i zasiadłszy z nim, pokazałem

mu, jak się robi szkielet siodła i nauczyłem go tej sztuki. Sam zaś wzięłem wełnę, wycesałem ją i z niej utworzyłem pilśń, potem przyniosłem skórę, obciągnąłem nią siodło i wygładziłem do połysku. Po czym przymocowałem do siodła pas, dowiązałem rzemienie, wezwałem kowala i objaśniłem mu, jak się wykonuje strzemiona. Kowal wykuł parę mocnych strzemion, a ja wypolerowałem je i powlokłem cyną. Potem jedwabnymi chwastami przystroiłem siodło i wybrałem najprzedniejszego z królewskich rumaków, osiodlałem go, przymocowałem strzemiona, założyłem wędzidło i tak przed króla go poprowadziłem.

Król był zachwycony. Wierzchowiec bardzo mu się spodobał, król więc podziękował mi i dosiadł konia. I cieszył się tym siodłem wielce, a mnie hojnie wynagrodził za to, com dla niego zrobił. Gdy wezyr zobaczył siodło wykonane według moich wskazówek, poprosił, abym i jemu takie samo zrobił, a ja spełniłem jego życzenie. Potem i inni wielmoże i dostojnicy królewscy prosili mnie o siodła, więc wykonywałem je dla nich, wyuczyszcy cieśnię sztuki wyrabiania szkieletów siodła, a kowala wyrobu strzemion. Tak oto, wykonując siodła i strzemiona i sprzedając je panom i wielmożom, wkrótce dorobiłem się znacznych bogactw, stałem się znany i lubiany i cieszyłem się wielkim poważaniem u króla i wśród jego otoczenia, u możnych i dostojników, zajmując wśród nich wysokie stanowisko.

Aż oto gdy pewnego dnia siedziałem u króla zadowolony i otoczony szacunkiem, powiedział on do mnie: „Wiedz, że stałeś się jednym z nas i że cenimy i szanujemy cię tak, iż nie potrafilibyśmy już się z tobą rozstać ani nie moglibyśmy pogodzić się z myślą, byś miał z naszego miasta odejść. Pragnąłbym przeto poprosić cię o coś, lecz musisz mnie posłuchać i uczynić to bez sprzeciwu.” Spytałem wówczas: „Cóż to takiego, czego ode mnie żądasz, królu? Powiedz, a zaiste nie odmówię twojemu życzeniu, bo ty jesteś moim dobroczyńcą i tylko łaskawość i wspaniałomyślność stale mi okazujesz, a ja – chwała za to Allahowi – jestem jednym z twoich sług.” Król powiedział na to: „Pragnę ożenić cię z dziewczyną piękną, dobrą i gładką, a przy tym wytworną i majątną. Osiądź wśród nas, a mieszkanie dam ci w moim pałacu. Nie sprzeciwiaj się mojej woli i nie odmawiaj mi tego, o co proszę.” Gdy wysłuchałem słów króla, zawstydziłem się tak, że nie mogłem z siebie słowa wydobyć, i wskutek tego zmieszania milczałem, zwlekając z odpowiedzią. Król zapytał: „Synu mój, dlaczego nie odpowiadasz?” Wtedy rzekłem: „Panie mój, życzenie twoje jest dla mnie rozkazem, o królu czasie.” W tej samej chwili, nie zwlekając, król posłał po świadków i kadiego, a gdy ich sprowadzono, ożenił mnie z dostojną i szlachetnie urodzoną niewiastą. Miała ona bogactwo i znaczny majątek, dobra, domy, posiadłość, wywodziła się

z doskonałego rodu i była niezrównanie piękna. Gdy z woli króla zostałem poślubiony tej szlachetnej niewieście, król podarował mi osobny, wielki i piękny dom, dał mi służbę i niewolników, wyposażył mnie wspaniale i wyznaczył mi utrzymanie i stałe dochody. Żyłem tedy w zupełnym spokoju, w radości i weselu i zapomniałem o wszystkich trudach, niedolach i niepowodzeniach, których dawniej doświadczyłem. I mówiłem sobie w duszy: „Gdy zechcę do mojego kraju pojechać, wezmę żonę ze sobą.” Cóż, kiedy każdemu z góry przeznaczony jest jego los, od którego nie ma ucieczki i nikt nigdy nie wie, co mu się przygodzi.

Kochałem swoją żonę i ona mnie wielką miłością darzyła, żyliśmy zgodnie, beztrasko i w wielkich rozkoszach. Działo się tak przez pewien czas, aż oto Allah zesłał śmierć na żonę mojego sąsiada i przyjaciela. Poszedłem do niego, aby go po stracie pocieszyć, i zastałem go w godnym pożałowania stanie, smutnego, z sercem i umysłem pełnym bólesci. Pocieszałem go i tłumaczyłem: „Nie trapi się i nie rozpaczaj tak po swojej żonie. Na pewno Allah obdarzy cię w zamian lepszą i będziesz wiódł z nią długie życie, jeśli Allah Najwyższy dozwoli.” Ale on wybuchnął na to wielkim płaczem i zawołał: „Przyjacielu, jakże mogę poślubić inną, kiedy pozostaje mi jeszcze zaledwie jeden dzień życia?!” Odpowiedziałem: „Bracie mój, bądź rozsądny i nie mów o śmierci. Przecież zdrow jesteś i nic ci złego nie grozi.” Wdowiec powiedział: „Przyjacielu, obyś długo żył, ale jutro mnie utracisz i nigdy więcej w życiu mnie nie zobaczysz.” Spytałem: „Jak to?”, a on mówił dalej: „W dniu, w którym moją żonę pochowają, i mnie z nią razem w grobie zamkną. W naszym kraju panuje bowiem obyczaj, że gdy kobieta zemrze, jej męża wraz z nią żywcem grzebią. A gdy mężczyznę śmierć zabierze, żonę z nim razem chowają po to, aby żadne z nich po odejściu towarzysza dalej nie mogło się cieszyć życiem.” Usłyszawszy to zawołałem: „Cóż to za zwyczaj straszliwy! Czy nikt się od niego nie może ocalić?”

Gdyśmy tak rozmawiali, nadeszły z miasta tłumy ludzi, którzy dzielając jego żal nad stratą żony i nad nim samym, według zwyczaju oporządzili zwłoki, przynieśli trumnę i wynieśli w niej wreszcie zmarłą kobietę. Za nimi poszedł jej mąż. I wywiedli ich za miasto, poprowadzili w ustronne miejsce, do stóp góry, nad morze. Skoro tam przybyli, unieśli wielki głaz i ukazała się pod nim otchłań podobna do studni. Do owego niezwykle głębokiego dołu wrzucili zmarłą kobietę, po czym podprowadzili jej męża, przewiązali go sznurem wół i spuścili na postronku w głąb studni wraz z wielkim dzbanem słodkiej wody i siedmioma plackami jęczmiennymi. On się tam na dole odwiązał od sznura, który tamci zaraz na górę wyciągnęli, otwór studzienny z powrotem wielkim głazem przywalili, a sami

zwyczajnie odeszli w swoje strony, zostawiając w dole mego przyjaciela razem z jego zmarłą żoną. Rzekłem sobie wtedy w duszy: „Na Allacha, jego śmierć będzie dużo straszniejsza od śmierci jego żony.”

Potem udałem się do króla i zapytałem: „Panie mój, dlaczegoż to w waszym kraju żywego wraz ze zmarłym chowają?” Odrzekł: „Wiedz, że w naszym kraju panuje obyczaj, który każe pogrzebać żonę żywą, kiedy jej mąż umrze, i podobnie w wypadku śmierci niewiasty z nią razem żywcem jej męża chowamy. Dzieje się tak dlatego, że nie chcemy, by dwoje za życia złączonych śmierć miała rozdzielać. A zwyczaj ten przejęliśmy od naszych przodków.” Pytałem dalej: „O królu czasu, czy z takim jak ja cudzoziemcem postąpilibyście tak samo jak z tamtym człowiekiem, gdyby mu żona umarła?” Król odrzekł: „Tak, pochowalibyśmy cudzoziemca razem z jego zmarłą żoną i uczynilibyśmy to samo, co właśnie widziałeś.” Gdy usłyszałem te słowa, tak się o siebie zmartwiłem, że o mało zółć mi się nie rozlała, umysł mi się zmacił i strach mnie ogarnął na myśl, że moja żona może przede mną zemrzeć, a wtedy mnie żywego razem z nią pochowają.

Wkrótce jednak pocieszyłem się, że może akurat ja przed nią zemrę, bo przecież nikt nigdy nie wie, komu wcześniej, a komu później przychodzi umierać. I zająłem się swoimi sprawami. Ale minęło niewiele czasu, gdy moja żona zasłabła, chorowała kilka dni i umarła. Tłumy przychodziły mi współczuć, jej rodzina mnie pocieszała, nawet sam król przyszedł, aby według ich zwyczaju wyrazić mi swój żal z powodu jej śmierci. A potem przyszły kobiety umyć moją żonę, a gdy to uczyniły, przyodziały ją w najwspanialsze z jej szat i przybrały w kosztowności, naszyjniki i drogocenne kamienie. Potem ułożyli ją w trumnie, wynieśli i poszli pod górę, zdjęli głaz z otworu studni i wrzucili do niej zmarłą. Wreszcie podeszli do mnie wszyscy moi przyjaciele i rodzina mojej żony i poczęli się ze mną żegnać. A ja krzyczałem: „Jestem cudzoziemcem i nie obchodzą mnie wasze obyczaje!” Ale oni nie słuchali moich słów i nie zważali na moje wołania, tylko chwycili mnie, związali i przemocą – dodawszy siedem placków jęczmiennych i dzban słodkiej wody, tak jak kazał ich obyczaj – spuścili mnie do studni, która na kształt wielkiego dołu miała swe miejsce pod skałą. Potem krzyknęli do mnie: „Odwiąż się od sznura!”, a gdy nie chciałem tego zrobić, zrzucili na mnie sznur, otwór studni przywalili głazem, a sami zwyczajnie odeszli swoją drogą. A ja zobaczyłem na dnie studni wielką ilość zwłok, od których biła odrażająca woń. Wówczas jałem sam siebie przeklinać w duszy za to, co zrobiłem, i rzekłem: „Zaiste, zasłużyłem sobie na wszystko to, co mnie spotyka i czego doświadczam!” I przestałem dzień od nocy odróżniać, i jadłem niewiele, nie tykając pożywienia do czasu, gdy

już prawie zaczynałem z głodu omdlewać, i piłem dopiero, gdy dotkliwe pragnienie poczynało mi doskwierać. Bałem się bowiem, że mi się skończy zapas jedzenia i wody, i mówiłem: „Nie ma potęgi ni siły poza Allahem Wielkim i Mocnym! Czemuż tak musiałem ucierpieć wskutek ożenku w tym mieście? Ilekroć sobie powiem, że uszedłem nieszczęściu, zaraz w inne, jeszcze gorsze tarapaty wpadam! Na Allacha, okropną śmiercią przyjdzie mi umierać! Bodajbym był utonął w morzu albo w górach zginął! Wszystko byłoby chyba lepsze od tego strasznego konania!”

I tak się bezustannie oskarżałem w duchu, i sypiałem na ludzkich kościach, Allacha Najwyższego na pomoc przyzywałem i śmierci jak wyzwolenia pragnąłem, ale nie znajdowałem jej w moim ciężkim położeniu. I tak się ze mną działo, aż głód znów mi wnętrzości trawić począł i dokuczało pragnienie. Usiadłem więc, po omacku sięgnąłem po chleb i jadłem go po kawałeczku popijając wodą po kropli. Wreszcie jednak wstałem i powlokłem się wzdłuż ścian jaskini. Zobaczyłem wówczas, że daleko rozciąga się na boki, a wewnątrz ma puste, lecz na ziemi leżą wszędzie niezliczone ilości zwłok i próchniejące kości z dawnych czasów. Z boku, w pewnym oddaleniu od świeższych zwłok, uczyniłem więc sobie legowisko i tam się położyłem. Moje zapasy żywności malały i w końcu zostało mi ich tak niewiele, że mogłem jeść zaledwie raz na dzień, albo i rzadziej, i raz dziennie tylko piłem, bojąc się, że zanim umrę, zabraknie mi tej wody i jada, które mi dano.

W takim trwałem położeniu aż do pewnego dnia. Siedziałem właśnie i rozmyślałem nad tym, co pocznę, gdy skończy mi się woda i zapas jedzenia, gdy wtem odsunięto głaz z wejścia do studni i padła na ziemię smuga światła. Zadałem sobie w duchu pytanie: „Co to może znaczyć?” I wtedy nad otworem studni stanęli ludzie i spuścili w głąb zwłoki mężczyzny, a z nimi razem żywą kobietę, która płakała i rozpaczała nad sobą. Za nią spuścili duży zapas żywności i wody. Patrzyłem na tę niewiastę, sam przez nią nie będąc widziany, a tamci ludzie na górze przywalili tymczasem głazem otwór jaskini i według zwyczaju poszli sobie swoją drogą. Wtedy wstałem, ująłem w dłoń piszczel po jakimś zmarłym człowieku i podszedłszy do kobiety, uderzyłem ją w sam środek głowy. Upadła na ziemię i straciła przytomność, a ja uderzyłem ją po raz drugi, a potem trzeci, aż wyzionęła ducha. I zabrałem jej chleb i wszystko, co z sobą miała, i ujrzałem na niej wiele ozdób, strojnych sukien, naszyjników, klejnotów i drogocennych kamieni. Zabrałem jej wodę i żywność i z powrotem spocząłem na miejscu, które sobie przysposobiłem do spania na skraju pieczary. Spożywałem to jado po troszecze, tyle tylko, aby



z sił nie opaść, aby mi nie zabrakło pożywienia i abym nie umarł z głodu i pragnienia.

Tak oto przez dłuższy czas przebywałem w tej jaskini i za każdym razem, gdy kogoś chowano, zabijałem tego, kogo spuszczano ze zmarłym, zabierałem mu jedzenie i wodę, aby siebie przy życiu utrzymać. Aż pewnego dnia wyrwał mnie ze snu, w którym trwałem pogrążony, jakiś szelest zakłócający ciszę na skraju jaskini. Pomyślałem: „Co to może być?“, wstałem i poszedłem w tamtą stronę, ujawszy w dłoń ludzką kość. Jakaś istota czując, że się zbliżam, umknęła przede mną i znikła – a było to dzikie zwierzę. Podążyłem za nim w głąb jaskini i wtedy zobaczyłem światelko podobne do gwiazdy, raz się pojawiające, raz gasnące. Ujrawszy je skierowałem ku niemu swe kroki i w miarę jak się doń przybliżałem, światło stawało się jaśniejsze i większe. Doszedłem do przekonania, że musi tam być jakaś szczelina w skale prowadząca z jaskini na otwartą przestrzeń. Mówiłem sobie w duszy: „Bez wątpienia jest tu jakieś przejście. Może to być drugi otwór podobny do tego, przez który mnie tu spuszczone, albo też jest to zwykłe pęknięcie w skale.“ Chwilę się nad tym zastanawiałem, a potem znów ruszyłem ku temu światłu.

I rzeczywiście, był to otwór wygrzebany w stoku góry przez dzikie zwierzęta, które tędy dostawały się do wnętrza jaskini, pożerały ciała zmarłych i nasycone wychodziły tą samą drogą. Gdy to spostrzegłem, odzyskałem spokój, dusza uciszyła się we mnie, serce mi ozdrowiało, uwierzyłem, że życie może istnieć po śmierci, i czułem się tak, jak bym śnił. Potem nie bez trudu przecisnąłem się przez tę szczelinę i oto znalazłem się na brzegu słonego morza, u stóp olbrzymiej góry, która wrzynała się między dwa morza i od wyspy i miasta je odgradzała, tak że nikt nie był w stanie do niej dotrzeć. Sławiłem przeto Allacha Najwyższego, dziękowałem Mu i cieszyłem się wielką radością, a serce moje odzyskiwało siły. Później wróciłem przez tę szczelinę z powrotem do jaskini i wyniosłem z niej wszystką wodę i żywność, jaką sobie zaoszczędziłem. Wziąłem też nieco odzienia ze zmarłych i wdziąłem je na to, co już na sobie miałem, zebrałem też ze zwłok wiele rozmaitych naszyjników, klejnotów, sznurów pereł, a także ozdób srebrnych i złotych, wysadzanych najprzeróżniejszymi klejnotami i drogocennymi kamieniami. Zawinałem to wszystko w szaty zmarłych i przez ową szczelinę wyniosłem moją zdobycz na tyły owej góry, i tam już pozostałem na morskim brzegu. Ale każdego dnia wchodziłem do jaskini, by każdemu żywcem pogrzebanemu odebrać żywność i wodę, po czym wychodziłem z niej. Zabijałem tych ludzi bez względu na to, czy był to mąż, czy niewiasta, po czym wychodziłem z powrotem przez szczelinę. W ten sposób żyłem przez czas jakiś. Powynosiłem z jaskini wszystko, co w niej znalazłem spośród kosz-

towności i wszelkich innych cennych rzeczy, i tak pewien czas na brzegu morza przepędziłem. Pewnego dnia, gdy rozmyślając nad swymi sprawami siedziałem na brzegu, ujrzałem nagle statek płynący środkiem spienionego morza, wśród fal bijących jedna o drugą. Chwyciłem wtedy do ręki białą suknię należącą do odzieży zmarłych, przymocowałem ją do kija i biegnąc po brzegu począłem nią dawać znaki tym, co płynęli na statku. Zwróciłem wreszcie na siebie ich uwagę i spostrzegli mnie, gdy tak stałem na skale. Podpłynęli bliżej, a kiedy posłyszeli moje wołanie, posłali do mnie łódź, w której siedziało kilku ludzi ze statku. A ci zbliżywszy się, zapytali: „Kim jesteś, skąd się tu wziąłeś i jak się dostałeś na tę górę? Nigdy w życiu nie widzieliśmy nikogo, kto by na nią wyszedł.“ Odpowiedziałem: „Jestem kupcem. Statek, na którym płynąłem, zatonął, ja zaś z częścią moich rzeczy wlażłem na deskę i dzięki pomocy Allacha, jak też wskutek mych wysiłków i zmyślności mogłem po przebyciu licznych trudów wydostać się tutaj razem z moim dobytkiem.“

I zabrali mnie wioślarze do swojej łodzi, i powieźli mnie z tym wszystkim, co wyniosłem z jaskini i poowijałem w odzież i całuny. Skoro podpłynęli do statku, wciągnęli mnie i moje rzeczy na pokład i zaprowadzili mnie przed kapitana. Ten zapytał: „Człowieku, jakim cudem znalazłeś się w tym miejscu, u stóp tej ogromnej góry, za którą jest wielkie miasto? Całe życie pływam po tym morzu i mijam tę górę, a nie zdarzyło mi się nikogo na niej widzieć prócz dzikich zwierząt i ptaków.“ Na to odpowiedziałem: „Jestem kupcem. Płynąłem na wielkim statku, który rozbił się, a wszystkie moje rzeczy, tkaniny i ubrania wpadły wraz ze mną do wody. To, co widzisz, zdołałem wyciągnąć na wielką deskę okrętową, a że los i przeznaczenie mi sprzyjały, więc wydostałem się na tę skalę i czekałem w nadziei, że ktoś będzie tędy przepływał i zabierze mnie z sobą.“ Nie wspomniałem mu o tym, co mi się przytrafiło w mieście, a potem w jaskini, gdyż bałem się, że na statku może być ktoś z tego miasta.

Potem wybrałem dla kapitana statku trochę z moich bogactw i powiedziałem: „Panie mój, sprawiłeś, że uszedłem z tej skały z życiem, przyjmij przeto ten dar jako zapłatę za dobry uczynek, który mi wyświadczyłeś.“ Ale kapitan nie przyjął ode mnie tego podarunku, tylko rzekł: „Od nikogo nigdy żadnej zapłaty nie bierzemy, chociaż zawsze, widząc rozbitka na wyspie czy na brzegu morza, zabieramy go z sobą, karmimy i pić mu dajemy, a jeśli jest nagi, odziewamy go. Później zaś, kiedy już przybywamy do jakiejś bezpiecznej przystani, dajemy mu coś z naszego własnego dobytku, postępujemy z nim wspaniałomyślnie i wielkodusznie na chwałę Allacha Najwyższego.“ Wysłuchiłem słów kapitana i modliłem się o długi żywot dla niego.